

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 22 stycznia 1956 r.

Nr 3 (529)

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

PRZESTĘPCY POZOSTAJĄ BEZKARNI...

ZOSTAŁO popełnione morderstwo, podwójne morderstwo: pierwszą ofiarą zbrodni pada ubogi, sumienny w spełnianiu swej pracy dozorca nocny, którego przyczyną śmierci jest — rzadki stosunkowo przypadek — obowiązkowość, cnota nieadekwatna w współczesnym czasie; druga ofiara ginie w niecodziennych okolicznościach — jest nawet jakaś osobliwa, perwersyjna aura, tworząca tło dokonanej zbrodni: trup młodego, bogatego Żyda — Daniela w wannie, otwarty w łazience gaz, który miał jakoby spowodować jego śmierć, brak jakichkolwiek śladów rabunku...

Sprawy są na razie nieznanymi. Policja prowadzi jednak energiczne śledztwo, jest nawet na tropie morderców...

Nie, ten wycinek fabuły z filmu André Cayatte'a „Przed potopem” nie jest najważniejszy. Jest przecież tak banalny w czasie i w kraju, w którym dziś jeszcze niezwykła śmierć jest sprawą zbyt zwykłą. Jest też zbyt prosty w wykryciu zagadki morderstwa i w rozwikłaniu konfliktów, szczególnie wśród ludzi, którzy są przyzwyczajeni do bardziej wyrafinowanych metod i do subtelniejszej perfidii.

Nie można jednak zrezygnować z tego banalnego wątku, jest on bowiem krańcowym momentem narastającej akcji: motyw śmierci Daniela kończy rozdział filmu, który można by nazwać: „Zbrodnia”. Odtąd rozpoczyna się rozdział drugi — „Wina”.

Rewelację w filmie stanowi grupa oskarżonych. — Nie jest jednak rewelacją fakt, że mordercami są młodzi ludzie, niemal chłopcy, którzy nie stając się jeszcze dorosłymi mężczyznami utracili cały urok dzieciństwa. Ich współtowarzyszką jest młoda, piękna dziewczyna.

Nie jest rewelacją — fakt, że oni są właśnie mordercami. Przywykliśmy bowiem do tego — i to stwierdzenie ma w sobie cechy cyniczne — że często, aż nazbyt często wokandy sądowe zapelniają się sprawami młodzieży, oskarżanej o polnie, kradzież, gwałt, rabunek, bandytyzm.

Podobnie alarmujące wieści napływają do nas z innych państw, gdzie prasa i różne organizacje społeczne obserwując pogłębiający się proces degeneracji młodzieży, biją w wielki dzwon trwogi. Powracają niemal średniowieczne, upiorne czasy, w których „czarna zaraza” dziesiątkowała ludność Francji, Anglii, Niemiec i wędrując od kraju do kraju znacząca pustynią ślad swego pochodu. W jej tragicznej wędrówce dopatrywano się wówczas symbolu kary, którą mentalność średniowieczna pojmowała jako pokutę za grzeszne, rozpasane życie feudalów.

Zarazą współczesna nie maszeruje od kraju do kraju wraz z niosącym ją wiatrem. Nie przenika na ład z cumujących statków i nie przedostaje się nań wraz ze skażonymi szczurami i robactwem. Jest inna i właśnie w tej odmienności — straszna.

Wydawałoby się, że inaczej niż trąd czy dżuma — nie ma swego początku. Wydaje się nawet, że nie ma warunków, aby mogła powstać, gdy nagle wybuchła. Gdzie? Tam, gdzie najmniej jest oczekiwana: np w Szwecji, w kraju, który od setek lat pozostaje na poziomie wysokiego rozwoju kulturalnego i materialnego; w kraju, który od setek lat nie prowadził wojny i gdzie wojsko w stanie zbrojnym występuje tylko na paradach lub w teatrze.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: paru młodych szwedzkich chłopców zdobywa broń i przy pomocy karabinu maszynowego terrorizuje miasteczko. Są ranni i zabici. Policja zaskoczona taką „nie szwedzką” akcją jest zdezorientowana a nawet nie umie początkowo opanować sytuacji. Banda działa i zbiera swe żniwo. Jakże jest to żniwo? Nie, wcale nie chodzi im o pieniądze... Węć o co?

O podobnych wypadkach wybrków młodzieży, stojącej na skraju bandytyzmu, dowiadujemy się z prasy niemieckiej, angielskiej, francuskiej.

W pewnym sensie można zrozumieć tło mordu, jaki opisywała niedawno prasa francuska, popełnionego na młodej kobiecie w Paryżu, w okręgu dwudziestym, który położony na północno-wschód od cementarza Père Lachaise zabudowany jest odrapanymi, wałecami się kamieniczkami. W zaułkach tej

dzielnicy domy mieszkalne przeplatają się z domami publicznymi. Jest to wylęgarnia rozpusty i przestępstwa. Dlatego też wykrycie sprawy mordu, kilkunastoletniego chłopca, który dokonał samosądu na kochance, znajduje swe wytłumaczenie w kanonach społecznych, w otoczeniu i w jego wychowaniu. Chłopak nie miał rodziny, spał na słomiance w izbie, w której rządził sutener a mieszkańcy nie mieli jej lokatorów. To byli twórcy jego „pionu moralnego”. Tutaj uczył się kraść i kochać, nienawidzić i zabijać.

Chłopcy w Szwecji nie pochodzili z takiego środowiska. Byli to synowie urzędników i przemysłowców, a więc tej klasy, która w burżuazyjnym państwie zalicza się do tak zwanej „socjety”.

Ten fakt stał się swego czasu rewelacją w Szwecji. Dodajmy: tragiczną rewelacją. Jest też rewelacją w założeniu filmu Cayatte'a.

W filmie „Przed potopem” mordercami nocnego dozorcę i młodego Żyda Daniela — są młodzi chłopcy, którzy w żadnej mierze nie wywodzą się ani z dwudziestego okrę-

gu Paryża, ani też z żadnego innego, który by był doń podobny w swej strukturze społecznej i moralnej. Oskarżenia o zbrodnię młodzi ludzie mają rodziców, swój dom i formalnie nie ma w tym wypadku żadnego punktu do zaczeptenia. Powtarzam: formalnie, gdyż właśnie w dyskusjach nad słynnym już filmem Cayatte'a pada często zarzut, że nie oni są winni, że ich zbrodnia wynika z wadliwego wychowania, z braku odpowiedniej troski i zainteresowania rodziców ich życiem, czynami, sprawami. Można by więc powiedzieć, że winni są ich rodzice: pan Bouseard — poświęcający więcej uwagi finansowym szalbierstwom i planowanej ucieczce przed wojną do Afryki i pani Bouseard — przekwitła „diva”, której wydaje się, że odnalazła prawdziwą miłość. W życiu tych dwojga ludzi zabrakło miejsca dla zainteresowań i sprawami ich jedynaka — Filipa; albo pani Arnaud — matka wrażliwego Janka, egzaltowana i zamęczająca swą miłością i troską syna, albo ex-trawista, pan Dutroit, który idee fixe swego życia widzi

w maniacko-rasistowskim uprzedzeniu do Żydów. Winny jest wręcz szanowany powszechnie pedagog-liberal, ojciec Liliany, który jest tak zaabsorbowany sprawami społecznymi, że nie ma czasu poświęcić uwagi kłopotom dorastającej córki.

Jakkolwiek przed sądem odpowiadają bezpośrednio młodzi przestępcy, opinia społeczna wyciąga swój wskazujący palec na ich rodziców, jako na współtwórców zbrodni. „Wy jesteście winni, gdyż skazaliście swe dzieci na samotność”. W ten sposób problem moralno-społeczny filmu byłby rozwiązany. Ale rozwiązanie to jest tylko pozorne.

II

ANDRÉ CAYATTE, zanim zdołał wyświetlić swój film we Francji, musiał stoczyć zaciętą walkę ze swymi przeciwnikami. Zarzucono mu fałsz, szkolenie rodziny francuskiej, nadmierne i krzywdzące uogólnienia, które podrywały autorytet metod wychowawczych peda-

gogów, władz itp. Jest wielkim szczęściem, że wszystkie te zarzuty nie zdołały przeszkodzić w upowszechnieniu filmu, w odbiorze jego myśli, rozważań, dydaktyki przez miliony widzów, którzy z niekłamnym wzruszeniem odczytują już później, po skończonym widowisku, jego społeczną i moralną metaforę. Film „Przed potopem” nie należy wyłącznie do Francji. Jego walory wychowawcze są znacznie szersze, dlatego też wszyscy oponenti Cayatte'a nie mieli racji zarzucając mu podrywanie autorytetu rodziny francuskiej. Film ten, mimo że swymi akcesoriami tkwi głęboko we współczesnym życiu francuskim, a raczej życiu pewnego wycinka społeczeństwa francuskiego — burżuazji, ma wiele elementów wspólnych ze sprawami innych krajów i innych grup społecznych. Można się zgodzić, że pewne motywy filmu są właściwe tylko tej klasie społecznej, którą reprezentuje, że są one niepowtarzalne np. w warunkach nie tylko Polski i innych krajów demokracji ludowej, ale i nawet Szwecji, może Niemiec i Belgii... że spełniają się one w takim środowisku, które charakteryzuje specjalny typ mentalności i kultury, że dlatego mógł powstać we Francji... Ale nie można równocześnie zaprzeczyć, że różne przejawy „samotności” młodych ludzi, wynikające z

wielkich katastrof dziejowych — wojny, z wyrafinowania kultury niemieckiej, czy też z jej upadku lub po prostu — z nędzy społecznej — prowadzą w swych konsekwencjach do tych celów.

Zbrodnia pozostaje zbrodnią i bez względu na fakt, czy została popełniona przez paryskiego ulicznika z dwudziestego okręgu, czy przez dzici burżuazji szwedzkiej lub francuskiej, czy też przez chuliganów polskich — zostanie czynem potępionym przez każde społeczeństwo. Jest zbrodnią, która staje się tragiczną „własnością” całego świata. Dlatego film „Przed potopem” jest bliski i okrutny nie tylko dla francuskiego widza i francuskiej rodziny, ale również dla opinii społecznej innych krajów.

Przed kasami kin warszawskich, wyświetlających film Cayatte'a zbierają się tłumy widzów. Jak na każdy dobry film, trudno jest dostać bilety. Nie mała przeszkodą stanowią w tym wypadku całe zastępy najuczuciwszych bikiarzy, może chuliganów, a może jeszcze nie, gdyż trudno rozpoznać po zewnętrznych akcesoriach, mandolinach, polkach, plezrach, naleśnikach — rangę ich społecznej perwersji. W każdym razie film przyciąga wszystkich, a wśród tych wszystkich wi-

dzimy całą niemal galerię osobliwości społecznej — tę młodzież, dla której film Cayatte'a jest najbardziej potrzebny. I nie tylko ta obserwacja jest cenna. Film wywołuje żywe, serdeczne wzruszenie. Ulega mu nie tylko młodzież niezsutata moralnie, ale nawet najbardziej rasowe okazy warszawskiej bikiarii. Różne, być może są refleksy tego wzruszenia — sprawa upadku moralnego porządnego chłopca, ich bezradność w stosunku do zobojętniałego świata czy też kara — owo prawo, dosięgające każdego przestępcę — refleksy te są obojętne — ważne jest natomiast jedno: film przeorywa świadomość moralną młodzieży. Pokazuje tym wszystkim, którzy są bogaci, jeszcze raz, we współczesnym wydaniu starą, jak świat maksimum, że bogactwo nie daje szczęścia.

Bogata pani Bouseard chce oddać nawet cały swój majątek za odrobienie prawdziwego uczucia, a jej syn Filip, najbogatszy z całej piątki, jest uboższy w swym szczęściu od najbiedniejszego z przyjaćli, od Ryszarda Dutroit. Ciężko nad nimi wszystkim piętno obojętnej opuszczenia, samotności, wyobcowania z własnego społeczeństwa, które w ich sensie tylko pozornie składa się z całości. W rzeczywistości społeczeństwo jest tylko sztucznym zlepkiem rozhisteryzowanych ludzi i ich spraw, nie zawsze zrozumiałych dla ogółu. Gdy narastające niebezpieczeństwo zbliżającej się wojny doprowadza jednego do szalu niepokoju, inni zawzięcie podniecają atmosferę nerwowości. Nie czynią tego zresztą jacyś samotni, poszczególni ludzie. Tę gmatwaną współczesnego labiryntu wytwarza radio, prasa, giełda, plottki. Łatwo jest w nim zabłądzić dojrzałym o twarzym kregosłupie, a cóż tu mówić o piętno osamotnionych młodych ludzi, którzy z wojną spotkali się w okresie swych szczeniych lat. Nie autopsja minionej wojny wywarła na nich największe piętno. Piętno to zostało im wpojone później w latach powojennych osobliwym postępowaniem dojrzałych i wydawałoby się, że doświadczonych ludzi, którzy wyszli niedawno z wojny przeklinając ją a równocześnie szukając się do nowej rozprawy. Tej logiki sumienia nie zdoła wytrzymać wielu ludzi.

Wydaje się wątpliwe, czy rodzice młodych przestępców potrafiliby wyjaśnić im ten fenomen rozkładu burżuazyjnego świata. Nawet ojciec Liliany, który był pedagogiem i społecznikiem, ma sam wątpliwości, czy jego metoda jest skuteczna. Jest przekonany o słuszności idei pokoju,

(Dokończenie na str. 2)



Scena z filmu „Przed potopem”

CZESŁAW OSTAŃKOWICZ

Kiedy w noc „złodziei-gentlemanów” wchodzi Obywatel i Kurator

OBRADOWALIŚMY w dużej sali MRN, w Ratuszu. Przybyli tu metalowcy, kolejarze, nauczyciele, włókiennicy, kelnerzy, milicjanci, tramwajarze, studenci. Przez wiele godzin wznosiła się i opadała atmosfera dyskusji. Przytaczano przykłady konkretne i sprawdzalne. Oskarżano po imieniu instytucje i ludzi, którzy uchylają się od współpracy z kuratorami sądowymi, ilekroć zachodzi konieczność przyjęcia z pomocą młodym ludziom, którzy po odbyciu kar meldują gotowość powrotu do społeczeństwa. Było tych przykładów tak wiele, że odłożyłem pióro uważając zarzut za powszechny.

Gdyby w momencie dyskusyjnej gorączki przewodniczący zebrania, prezes sądu wojewódzkiego, ogłosił mobilizację w szeregi kuratorskie, pewnie bym i ja pognął do zapisu. Ale nikogo nie mobilizowałem, chociaż dużo mówiłem o konieczności zajęcia bojowej postawy przez ogół społeczeństwa wobec groźnego zjawiska, jakim jest nie zmniejszająca się przestępczość nieletnich. Ważił na przemian ponurą anegdota z „wrocławskiej nocy” i żartem. Równiejszy mi za ten wykład wdzięcznym oklaskiem. Jak w teatrze.

Wtedy poprosił o głos profesor Wjr. Przytaczał dowody szkodliwej

działalności, jaką na terenie szkoły prowadzą chłopcy z domów poprawczych i więzień. Dawał przykłady zawięzzonego zaufania, z jakim spotykają się nauczyciele.

Na to drugi dyskutant, również profesor liceum, zareplikował wylizowaniem wypadków, kiedy to udawało się pedagogom wyprostować krzywe drogi, na które weszli chłopcy i dziewczęta. Podawał nazwiska kolegów pracujących nad reedukacją takich właśnie uczniów.

Wtedy to kuratorka oprowadzająca mnie po bezdrożach „nocy” wrocławskich dzieci, wyjęła z torby pełnej książek, tygodników, notatek, pokazanej wielkości brulion. Jeden z wielu brulionów, które składała się na archiwium nieomal dziesięcioletniej służby społecznej. — „Niech pan to przeczyta, redaktorze. Jutro o jedenastej rozprawa...”

*

SKONCZYŁEM lekturę i piszę stęgram historii, jakich niestety nie ma.

„Wieczór. Wiosna 1953. Z bramy domu przy ulicy Sępa Szarzyńskiego wybiegł w mrok chłopak. Połił na przemian ponurą anegdotą z „wrocławskiej nocy” i żartem. Równiejszy mi za ten wykład wdzięcznym oklaskiem. Jak w teatrze.

Wtedy poprosił o głos profesor Wjr. Przytaczał dowody szkodliwej

— Panine, czy co? — zareplikowała obojętnie druga. — Nie brak to pani kłopotu z własnymi dziećmi?

Pogadano trochę o „twardej ręce” majstra Kr., pozalowano matki, pokiwano głowami nad demoralizacją „dzisiejszej młodzieży” i okna zatrzęsiano.

Co będzie robił przez tę noc dziesięcioletni chłopak, nie interesowało nigdy sąsiadów.

Tak działo się nie jeden raz. I dziś jeszcze bardzo duzo zła mieszka w ruinach koto ulicy Szarzyńskiego. Dwa lata temu, kiedy Boguś poznawał nocne życie tych ruin, było znacznie lepiej. Buszowały tu przeróżne „Krwawe Bizony”, „Mocarze”, „Złodzieje-gentleman”.

Bandy dowodzone nie zawsze przez nieletnich, ale zawsze doświadczonych przestępców. U zwerbowanej dzieciarni szybko zacierała się różnica między zabawą w „bandytów i złodziei”, a normalnymi napadami rabunkowymi. Pseudonimy zdobywało się tutaj w „akcji”. Jak Indianie zdobywają swoje skalpy w powieściach Karola Maysa.

Bogusiowi tacy właśnie „gentleman” podali rękę, kiedy obity przez ojca uciekł z domu. Ta sama ręka poczeszowała go fłaszka, z której, krztusząc się, lknął pierwszy w życiu haust wódki.

— Nie daj się bić starym! Chodź do nas. Na wspólną „dołę” będziesz pracował.

Późniejszy opiekun Bogusia, Roman Kędzior, potrzebował właśnie szcuplego, zgrabnego chłopca, którego można by przez małe okienka wpuszczać do piwnic.

Po kilku dniach Bogdan wrócił do domu, ale za tydzień znów było bicie i znów sąsiadki ubolewały nad „dzisiejszą młodzieżą”.

Tylko że młody już nie czekał, aż zacznie mu spadać na plecy twardej ojcowski rzemień. Wiedział już, gdzie mu podadzą dłoń.

Podali. Teraz już wraz z... wytrychem.

„...Bez planowej i stałej współpracy kuratora z szkołą nie ma mowy o rozwiązaniu zagadnienia przestępczości nieletnich”.

A więc i ja o tej współpracy. Na przykładzie „Sprawy oskarżonego Bogdana Krańskiego”.

Zaczęło się w trzeciej klasie szkoły numer 44 przy ulicy Nowowiejskiej. Ławka Bogusia często stała pusta. Niejednokrotnie przez kilka dni. Wagarował. Nie wiedział o tym ani kuratorka, ani matka.

— Nie mogłam martwić tej kobiety. Przecież tak tragicznie straciła jedno dziecko rozerwane przez zależoną w gruzach minę. Poza tym wiedziałam, że ojciec skatowałby syna — tłumaczyła się kuratorce nauczycielka, kobieta o niemiarze dobrym sercu.

Trzeba było chłopca przenieść. Pechowo wybrano szkołę 54 z ulicy

Reya. Pechowo, bo zbyt częstym gościem bywała tu milicja. „Trudnemu chłopcu”, jakim był Bogdan, nie zbrakło tu „kumpli”. Zresztą, kierownik nie robił nic, żeby poprawić sytuację, zwalając winę na Wydział Oświaty, który (podobno) przysłał mu ze wszystkich innych szkół dzieci z „przeszłością”.

Zaczęło się poszukiwanie nauczyciela, który by zechciał przyjąć do swojej klasy pupila kuratorki. Data się wreszcie przekonał ob. Sponzor ze szkoły 38. Krótka to była radość. Z pokoju nauczycielskiego wyszli jednakowo upokorzeni kurator i podopieczny. Wyruził ich zborowy protest profesorów ze... Sponzorową na cele. Słowo „złodziej” zaplankany chłopiec słyszał jeszcze na schodach.

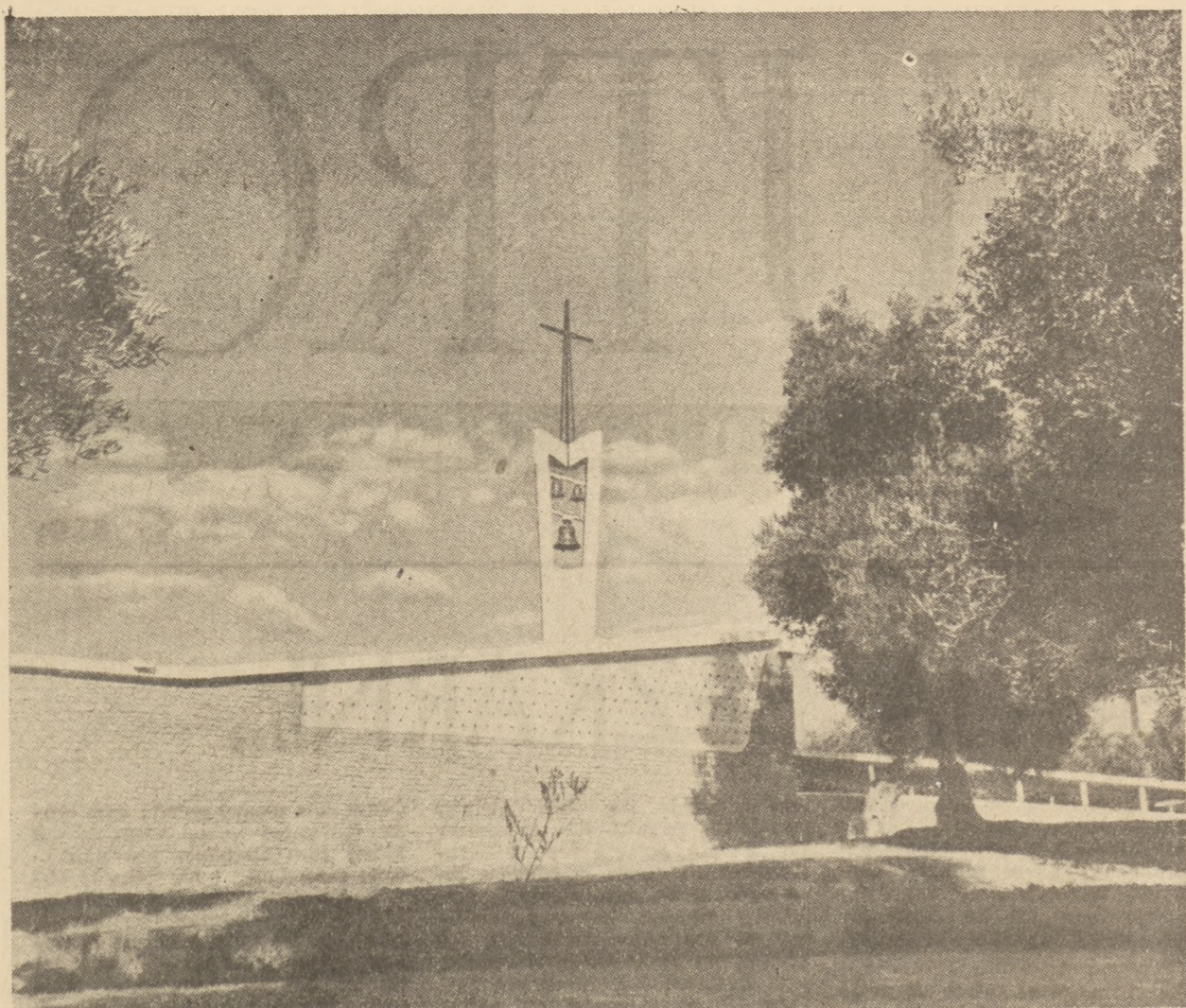
Nie brak we Wrocławiu i ofiarnych pedagogów. Chcę tu podnieść serce, z jakim prof. Chmiłkowska i Romaniszyn zajęli się trzynastoletnim uczniem w solidnej szkole nr 48 z ulicy Stalina.

Niestety, Bogdan miał już „powiązania”. Z tamtych z gruzów. Romek i Jurek Kędziorowie osobiście przyszli po zbęga. Pokazano mu nóż. Szkoła ubył uczeń klasy trzeciej, Krański.

Kurator nie rezygnuje. Znow rozpoczyna wędrówkę po uczelniach. Kierownik szkoły 54, prof. Wróński, wyraża zgodę na przyjęcie

(Dokończenie na str. 7)

KU LITURGII WCZESNOCHRZEŚCIJAŃSKIEJ



Jean Chemineau. Kościół w Quezane (Afryka Północna).

26 LISTOPADA ub. r. został ogłoszony w Rzymie przez św. Kongregację Obrzędów dekret papieski o historycznym znaczeniu, przywracający wczesnochrześcijański porządek liturgiczny obowiązujący w Wielkim Tygodniu i w dniu Zmartwychwstania Pańskiego.

Najważniejsze zmiany spowodowane przez dekret wchodzący w życie w najbliższą Palmową Niedzielę i obowiązujący wszystkich katolików obrządku łacińskiego są następujące:

Wielkoczwartkowa Msza Św. będzie odprawiana pomiędzy 5 p.p. a 8 wieczorem.

Wielkopiątkowa Msza (praesantificatorium) będzie celebrowana nie przed, lecz po południu, najlepiej o g. 3 lecz nie później niż o 6 p.p.

Po raz pierwszy katolikom całego świata będzie dozwolone przystępowanie do Komunii Św. w Wielki Piątek.

Uroczystość Wigilii Wielkanocnej będzie zaczynać się w Wielką Sobotę wieczorem, a Msza rozpocznie się o północy z Wielkiej Soboty na Niedzielę Wielkanocną.

„Ciemne Jutrznie” (Tenebrae) będą śpiewane w godzinach rannych, a nie wieczorem.

Zakończenie Wielkiego Postu będzie przypadać o północy z Wielkiej Soboty na Niedzielę.

PRZYWRÓCENIE WŁASCIWYCH GODZIN ODPRAWIANYCH NABOŻENSTW

PIERWSZA część dekretu, zmieniającego porządek nabożeństw w Wielkim Tygodniu, zawiera długie wstęp wyjaśniający powody tej reformy.

Na drugą część składają się trzy rozdziały z dziesięcioma podrozdziałami, ustanawiające zmiany liturgiczne, które mają być wpro-

wadzone w Palmową Niedzielę, w dniu 25 marca 1956 roku. Do dekretu załączona jest instrukcja o czterech paragrafach i 25 punktach, mająca na celu „łatwiejsze zrozumienie zmian i umożliwienie wiernym wyciągnięcia z nich jak największych korzyści”.

Na wstępie, po podkreśleniu znaczenia i istoty nabożeństw w Wielkim Tygodniu wyjaśnia się, w jaki sposób „były celebrowane obrzędy na początku, w czasie, kiedy miały miejsce zapisane tajemnice”.

I tak, na pamiętkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu nabożeństwo było odprawiane w Wielki Czwartek wieczorem, specjalne nabożeństwo rozpamiętujące śmierć Pana Naszego odprawiano w Wielki Piątek po południu; a wieczorem w Wielką Sobotę rozpoczynała się uroczysta Wigilia, której zakończenie w radości Zmartwychwstania przypadało na Niedzielę rano.

Jednak w wiekach średnich z wielu przyczyn przesunięto właściwy czas nabożeństw. Z końcem średniowiecza wszystkie nabożeństwa były odprawiane w godzinach rannych. Następstwem tego była „widoczna ujemna dla znaczenia liturgii i wynikająca stąd rozbieżność pomiędzy świadectwem Ewangelii i wspomnianymi obrzędami liturgicznymi”.

W późniejszych czasach została wprowadzona inna jeszcze zmiana — tym razem o większym nawet znaczeniu z pasterskiego punktu widzenia. Od wielu stuleci, aby wierni mogli brać udział w świętych obrzędach, Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobotą były dniami świątecznymi. W wieku XVII stan ten uległ zmianie wskutek całkowitego przeobrażenia warunków życia społecznego.

W następstwie tego liczba wier-

nych mogących uczestniczyć w tych obrzędach znacznie się zmniejszyła. Obecnie zauważa się powszechnie, że nabożeństwa te odbywają się w dosłownie pustych kościołach.

Uszczerbek to tym poważniejszy, że nabożeństwa te cechuje nie tylko specjalne dostojństwo, lecz również jest z nimi związana szczególnie mocna i skuteczna wartość sakramentalna; nie mogą one być zastąpione przez pobożne ćwiczenia, które są pospolicie zwane „para - liturgicznymi”. Wszystkie te racje spowodowały, że wybitni liturgiści, księża i zwłaszcza sami biskupi zwrócili się ostatnio do Stolicy Apostolskiej z petycją o zarządzenie zmian, które ułatwiłyby wiernym brać udział w uroczystościach Wielkiego Tygodnia.

Wstęp wyjaśnia więc, że Wigilia Wielkanocna została przywrócona w roku 1951 tytułem próby i skuteczność tej zmiany została stwierdzona przez znaczną ilość biskupów, którzy ponawiali swoje próby o wprowadzenie podobnej reformy w stosunku do innych dni Wielkiego Tygodnia.

Ponadto takie same próby robione były również z przesunięciem mszy wieczornych, w których udział biera tak liczni wierni.

W świetle tego wszystkiego kardynałowie Św. Kongregacji Obrzędów jednomyślnie poparli i zalecili wprowadzenie nowego porządku liturgicznego, uzależniając to od zgody Ojca Świętego.

WSKAZÓWKI DLA WIERNYCH

Z AŁĄCZONA do dekretu instrukcja, mająca na celu wyjaśnienie i ułatwienie wprowadzenia tych zmian, poświęcona jest duszpasterskim i obrzędowym przygotowaniom do Wielkiego Tygodnia.

Na biskupach ciąży obowiązek dopilnowania, aby liturgiczne i duszpasterskie znaczenie tych zmian było całkowicie zrozumiane. Wierni powinni również być należycie pouczeni, tak, aby mieli właściwe zrozumienie nowego „porządku” i mogli brać udział w nabożeństwach rozumnie i pobożnie.

Wierni zachęcani są do jak największego udziału w uroczystej procesji Palmowej Niedzieli. Mają być oni napominani o konieczności odbycia spowiedzi we właściwym czasie, „zwłaszcza tam, gdzie są przyzwycajeni do spowiadania się w wielkiej liczbie w Wielką Sobotę i w rannych godzinach Niedzieli Wielkanocnej”.

Wierni mają być pouczeni, z jaką miłością Pan Nasz ustanowił na pamiętkę swojej Mięki Najświętszą Eucharystię, którą teraz i na zawsze celebrują księża.

Są oni wezwani do uczczenia Najświętszego Sakramentu po Mszy Wielkoczwartkowej.

Wierni powinni również otrzymać wyczerpujące wyjaśnienia co do charakteru uroczystości wielkopiątkowych oraz „w jaki sposób mają osobiście spędzić ten dzień, nie zapominając o nakazie postu i abstynencji”.

Specjalny, liturgiczny charakter Wielkiej Soboty również wymaga starannego przygotowania wiernych. „Jest to dzień uroczystej żałoby, podczas którego Kościół pozostaje przy grobie Pana Naszego i rozmyśla o Jego Męce i Śmierci”.

Celem nocnego nabożeństwa jest „dowiedzieć i przypomnieć w sposób liturgiczny, jak przez śmierć Pana Naszego powstaje nasze życie w łasce”.

W dalszym ciągu instrukcja wyjaśnia drobiazgowo szczególne znaczenie każdego nabożeństwa wigilijnego.

Wreszcie w rozdziale tym instrukcja kładzie szczególny nacisk na konieczność pobożnego i przykładnego prowadzenia uroczystości liturgicznych w ciągu Wielkiego Tygodnia.

MSZA WIECZORNA

P O przypomnieniu, że tradycja Kościoła zakazuje odprawiania mszy prywatnych w Wielki Czwartek, instrukcja ustanawia, że w przypadku, gdy zachodzi konieczność jej odprawiania z powodów pasterskich, biskup może dać zezwolenie na jedną lub dwie ciche msze w poszczególnych kościołach.

W kaplicach półpublicznych może być dozwolona tylko jedna taka msza.

Te msze mogą być odprawiane jedynie w czasie uroczystej Mszy w Wielki Czwartek.

W tym dniu Komunia Św. może być udzielana tylko podczas lub nieobecności po mszy wieczornej. Dotyczy to również nabożeństwa w Wielką Sobotę. Wyjątek robi się jedynie dla chorych lub zagrożonych przez śmierć.

„W Wielki Piątek Komunia Św. może być udzielana jedynie podczas uroczystego nabożeństwa popołudniowego z takimi samymi wyjątkami dla chorych i konających”.

Kapłani celebrujący uroczystą Paschalną Mszę Wigilijną we właściwym czasie, tj. o północy, mogą

odprawić i Niedzielną Mszę Paschalną oraz, jeżeli otrzymali na to zezwolenie, jeszcze dwie lub trzy msze.

Przepisy Konstytucji Apostolskiej Christus Dominus regulujące sprawę postu są nadal ważne.

TRADYCJE

C ZWARTY i ostatni rozdział instrukcji podaje sposób postępowania w pewnych trudnych wypadkach.

Ponieważ tradycje zachowane w poszczególnych krajach i wśród różnych narodów nie są jednokrotne, leca się, aby „biskupi i księża starali się rozsądnie uzgodnić takie pobożne zwyczaje z nowym porządkiem liturgicznym przewidzianym na Wielką Sobotę”.

Błogosławienie domów prywatnych powinno być odożone do bardziej odpowiedniego czasu, przed lub po Świętacz Wielkanocnych, i przy tej okazji duchowieństwo powinno korzystać ze sposobności odwiedzenia wiernych i zapoznawania się z ich stanem duchowym.

Ostatnią część tego rozdziału mówią o zgodnym z przepisem uruchamianiu dzwonów na Gloria in excelsis w Wielki Czwartek i Wielką Sobotę. Tam, gdzie jest tylko jeden kościół, należy dzwonić, gdy rozpoczyna się śpiewanie Gloria.

W razie większej ilości kościołów dzwonienie powinno być synchronizowane z dwoma katedry lub głównego kościoła.

O MASOWE UCZESTNICTWO W MODLITWIE KOŚCIOŁA

Z NANA jest sprawa utraty przez katolików z biegiem stuleci wycucia „wspólnoty” w odprawianym nabożeństwie i zwłaszcza w wysłuchaniu Mszy świętej. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa, wiernym zbierającym się, aby wysłuchać Słowa Bożego i wspólnie złożyć całkowitą ofiarę ustaloną przez Pana Naszego jako przypomnienie o Jego własnej ofierze złożonej Jego boskiemu Ojcu — wystarczało zachować wiarę i rozumianą i skuteczną oraz nadąć jej jawnie potężny charakter apostołski.

Praca przy reformowaniu liturgii, dokonana w ciągu naszego stulecia, przy poważnym udziale św. Piusa X, miała na celu przywrócenie świadomego i istotnego udziału wiernych w tym, co obecny Papież określił jako „publiczną adorację, którą Zbawiciel, jako Głowa Kościoła składa Ojcu, jak również część, którą zespół wiernych oddaje swemu Zbawicielowi, a przez Niego — Ojcu w niebie”.

Ta praca nad reformą i odnowieniem jest jeszcze daleka od ukończenia. Stale są poznawane nowe zbiory, z których ostatnia, jest najbardziej uderzający dekret Św. Kongregacji Obrzędów. Ma być on znacznie więcej, poza szerokim rozpowszechnieniem poprzez Kościół zmian lokalnie już dozwolonych, jak np. korzystanie z poszczególnych części Rytuału w języku danego kraju.

Jak wyjaśnia wstęp do omawianego dekretu, pobudką do wznowienia dawnych praktyk religijnych podczas najbardziej uroczys-

tego tygodnia w roku jest danie wiernym wiernym ponownego masowego uczestniczenia w modlitwie Kościoła, „której znaczenie jest zawsze o wiele większe od innych praktyk i nabożeństw, jakie by one nie były”. Podczas przywrócenia Wigilii paschalnej (dotychczas nieobowiązującej, lecz szeroko praktykowanej już w przeważającej ilości państw kontynentalnych) — obrządki podkreślają same przez się, że wierni nie są tylko „i u d y w i d u a l n y m i u c z e s t n i c a m i, lecz c a ł k i e m ś w i a d o m i e c z e s t n i c i ą K o ś c i o ł a, w s p ó ł n i e u c z a j ą c s i ę, m o d l ą c i o d d a j ą c c z e ś ę”.

Nie ulega przeto wątpliwości, że nawet mające nadzieję większe zmiany będą nadal miały na celu umożliwienie wiernym wspólnego uczestniczenia w nabożeństwie ze zrozumieniem, bezpośrednio i z dużym większym poczuciem ich wspólnoty i przynależności do zespołu jako mistyczne Ciało Chrystusa reprezentowane w danym miejscu wiernymi, parafii lub kościele.

*

Zapewne dla wielu kłótek zmiana w przebiegu życia religijnego, do którego byli przyzwyczajeni, może okazać się trudna.

Składają się na to dwie zasadnicze przyczyny. Pierwsza — to obawa przed każdą nowością, która mogłaby w jakikolwiek sposób zagrozić dyscyplinie (w najszerszym tego słowa znaczeniu) ochraniającej wiarę. Drugą jest głęboko zakorzeniony indywidualizm, który uważa religię przede wszystkim za prywatną sprawę pomiędzy Bogiem a duszą jednostki.

O ile mamy słusność, połączenie tych dwóch, pozornie sprzecznych ze sobą tendencji ma wielkie znaczenie. Bowiem ta sprzeczność jest w rzeczywistości tylko pozorna. Mamy tu do czynienia z przesertem indywidualizacji tradycji religijnej, który wymaga zastosowania mocnej dyscypliny nadanej zwierzchnictwu dla zażegnania mogących powstać komplikacji.

Wydaje się nam, że obecne zmiany będą mogły gruntownie wpłynąć na wyrównanie tych braków przez wzmocnienie osobistej dyscypliny, wyprzedzającej z wewnątrz, żywej wspólnoty, mianowicie z większego uświadomienia sobie, że wszyscy jednoczy się we wspólnym przeżywaniu liturgicznego życia Mistycznego Ciała. To właśnie uświadomienie i zrozumienie naszego celu łączy nas bardziej niż sama tylko dyscyplina zewnętrzna.

Indywidualizm — albo, żeby użyć właściwego słowa — osobowość chrześcijanina czerpie swą siłę jedynie z wiązania się w Mistyczne Ciało Chrystusa, a nie w y s z e j O s o b y.

Nie jest to zatem wynikiem zbiegu okoliczności, że pogłębiające się rozumienie prawdziwej natury osobowości chrześcijanina żyjącej i zróżnicowanej z Osobą Chrystusa, indywidualnej lecz stanowiącej nieodłączną część całości zostają wzmocnione w tym okresie historii świata, kiedy fałszywa, atomiczna idea indywidualizmu winna być przezwyciężona przez realizm zbiorowości.

Niełatwo zdobyć skutecznego, uzdrawiającego lek, zwłaszcza w epoce, w której to, co ma budować zaufanie do idei, do prawdy, jest często burzone przez ludzi hamujących rozwój ludzkości, postęp, pasję poznania prawdy. Współczesna epoka charakteryzuje się tym, że pewne, usłowne dotychczas autorytety giną, powstają nowe. I wtedy rodzi się najbardziej tragiczny, rozdzierający człowieka dylemat, gdy nie ma już zaufania do odchodzącego autorytetu, nie zdział jeszcze nabrać zaufania do powstającego.

Ludzie żyjący w tej sytuacji są podobni do sylwetek oświetlanych z dwu stron. Z dwu stron jest cień: który z nich jest właściwy?

Na szczęście dla wielu narodów — powtarzam jeszcze raz — sytuacja nie układa się nigdy jednostronnie. Film Cayatte'a ukazujący przekrój części społeczeństwa francuskiego nie podaje całej prawdy. Jest na pewno uczciwy w zamiarze, lecz nie jest wierny w odbiciu walki, jaka toczy się w narodzie francuskim o jego zdrowienie moralne. Ofiarą padła młodzież. Przesłany są nieuchwytni, pozostają bezkarni. Mamy nadzieję, że tylko na razie...

Zbigniew Czajkowski

Redaguje Zespół.
Numeracja miesięczna 4 zł. Kwartał 12 zł. Adres Redakcji: Administracja: Mokotowska 43, tel. 8-88-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkleśniczkowe RSW „Prasa” w Warszawie Marszałkowska 3/5.
B-7-21045
Zam. nr 90

Przestępcy pozostają bezkarni...

(Dokończenie ze str. 1)

lecz nie umie tej słusności poprzeć skutecznym czynem.

Nie obarczamy więc ich winą złego wychowania dzieci. Ten zarzut mija się z celem tak, jakby miało się ze zdrowym rozsądkiem wydane polecenie wychowywania dzieci przez wariatów.

Czego bowiem może nauczyć Ryszarda Dutroita jego ojciec, maniak, ex-trabita, który uparcie podsyca w synu rasistowskie tendencje? Wychowywałby zapewne Ryszarda na rasistę, drugiego Lavala.

Albo pan Bouseard, dla którego wartość człowieka odmierzona jest wysokością dywidend lub wielkością jego szalbierstw? Wychowywałby syna na lepszego jeszcze od siebie lajdaka.

Podobne wnioski możemy wyciągnąć z oceny innych osób. Prowadzą one do wręcz paradoksalnego stwierdzenia, że może nawet lepiej byłoby, aby ci rodzice nie mieszały się wcale do wychowywania swych dzieci.

Kto będzie wówczas je wychowywał? Odpowiada się często bardzo patetycznie: społeczeństwo, państwo, naród. Lecz jeśli naród przeżywa wewnętrzny wstrząs, podsycony orgią historycznych zapowiedzi wojny i bomby wodorowej?

Wtedy rozkładamy już ręce... Nie znajdujemy winnych odpowiedzialnej zbrodni. Przestępcy pozostają bezkarni...

III

NA szczęście dla wielu narodów, sytuacja nie układa się nigdy jednostronnie i nawet w najbardziej zdeprawowanym społeczeństwie znajdzie się jeden sprawiedliwy. Mówimy wówczas o takiej jednostce, że posiada „pion moralny”, że reprezentuje w swych poglądach pewną postawę ideową. Ideologię tej jednostki czy też

grupy określa przekonanie o słusności pewnej prawdy. I jakkolwiek kierunek poszukiwania prawdy zależy od punktu wyjścia, od pierwszych zasad filozofii, to mimo podstawowych różnic dzielących te kierunki, jedno jest dla nich wspólne — że prawda istnieje; i postępowanie — które umożliwia zbliżanie się do poznania prawdy.

Okazuje się na wielu przykładach rozwoju i upadku cywilizacji, że do prymitywnego życia ludzkiego, czyli do tego, co mogliśmy nazwać zasadą utrzymania gatunku, potrzebne są tylko podstawowe czynniki: światło, powietrze, odżywianie. Ale do życia, mającego ambicje rozwoju, poszukiwania prawdy — czynniki te nie wystarczają. Potrzebna jest jeszcze umiejętność odczytywania praw rządzących rozwojem i rozpoznanie ich wykorzystywanie. Jest to sprawdzona racja rozwoju społecznego, która obowiązywała przed i po każdym „potopie”. Obowiązują również dziś. We Francji, i w innych krajach.

Nie zawsze ideowość szła w parze z postępem. Wpadała czasem w ślepy zaułek, w którym ginęła bezpowrotnie. Mówimy wtedy o niej, że była bezpodna, nieskuteczna, — nie służyła więc prawdzie. Brak jej prowadził do rozkładu nawet wielkich państw. Przykładem niech służy Imperium Rzymskie, do którego upadku nie przyczyniła się przecież bomba wodorowa.

To porównanie świadczy na korzyść Francji i każdego współczesnego kraju, w którym nie wszyscy ludzie ulegają wpływowi zwyrodniałych teorii. Nie dla wszystkich jedynym oderwaniem się od bezideowego, pustego życia jest ucieczka na Polinezję, na czarodziejską wyspę Ki-Wi, gdzie nie ma

groźby wojny, gdzie nikt nikogo nie straszy, gdzie panuje ciągła harmonia pomiędzy naturą i ludźmi. W umyśle młodych chłopców francuskich, którzy chcą tam umknąć, rodzi się jeszcze jedna idea: utrzymania swego własnego szczęścia, własnej niezależności w takim stanie, w jakim znajdują się ono obecnie; nieskerpowane interesy ludzi starszych i ich idiotycznymi prawami.

W takim aspekcie film Cayatte'a jest bardzo francuski — otwiera bowiem charakterystyczny dla współczesnych czasów nurt postawy filozoficznej egzystencjalizmu. Uciec — to znaczy znaleźć swoją wolność, taką wolność, która — powtarzam za Sartrem a raczej za „profesorem” nieistniejącej wprawdzie u nas katedry egzystencjalizmu, Zygmuntem Kałuzińskim — „polega na tym, by nie przyjmować niczego, co przychodzi z zewnątrz, ani z wewnątrz”.

W rzeczywistości wyspa Ki-Wi nie istnieje nigdzie. Jest podobna do legendarnej wyspy Utopii z tą zasadniczą różnicą, że odkrycie Utopii było wielkim krokiem naprzód w rozwoju ludzkości, zaś ucieczka na wyspę Ki-Wi jest rezygnacją.

Podobnie też piętno bezideowości ciąży na wspomnianej powyżej młodzieży szwedzkiej. Piętno to nie nosi cech francuskiego egzystencjalizmu, jest w innym stylu. Można by ten styl określić jako „amerykanizm”. Zamiast fenomenu „ucieczki” — zjawia się fenomen „pożądania”. I to pożądania wszystkiego, co leży w ludzkiej, a właściwie mówiąc konkretnej, co leży w chuligańskiej mocy. W Szwecji nie wchodzi przecież w rachubę „klasyczne” przyczyny przestępczości: nędza materialna, chaos polityczny; są one w poważnym stop-

niu stepione, a mimo to panuje tam zastraszający bandytyzm. W piśmie austriackim „Wort und Wahrheit” ukazał się w roku ubiegłym duży artykuł poświęcony temu zjawisku. Nie chcę być subiektywny, dlatego podam *in extenso* jego fragment:

„...młodzież (szwedzka — przyp. mój Z. C.) łączy się w zorganizowane hordy, które specjalizują się w określonych rodzajach przestępstw. Napady rabunkowe, włamania, zwalcanie, podpalania oraz kradzieże aut, morderstwa czy zabójstwa są coraz liczniejsze, często dochodzi do aktów zbiorowej chuliganerii na większą skalę, przy czym młodzi dopuszczają się bezmyślnego niszczenia i rzucają się na policję. Ci młodzi gangsterzy bynajmniej nie należą na ogół do tzw. „niższych klas społecznych”, tzn. „has o niskim dochodzie” (przynajmniej z tego artykułu burżuazyjnego pisma możemy się dowiedzieć, na czym polega wyższość „pewnych klas społecznych” — przyp. mój Z. C.); w Szwecji, a szczególnie w USA udział w przestępczości synów rodzin lepiej materialnie sytuowanych, studentów i dobrze zarabiających młodych robotników i urzędników jest szczególnie wysoki”.

Mamy więc jeszcze jeden przykład chuliganerii i to w kraju, gdzie nie ma tzw. obiektywnych podstaw do przestępczości. Są natomiast przyczyny ideologiczne — mianowicie brak ideologii. Młodzież tę cechuje, według analizy „Wort und Wahrheit”, nuda i żądza posiadania. „Śmiertelną pustką nieusławianej wprawdzie, lecz odczuwanej jako b e z s e n s e g z y s t e n c j i wypełnia się wszelkiego rodzaju podrażnieniami; jeśli nie wystarczają walki bokser-skie i zapamiętane, wysiłki motocyklowe, sensacyjne filmy i normal-

ny seksualizm, narzucają się już tylko — ryzyko przestępstwa oraz podniecie, jakich dostarcza niebezpieczeństwo i łamanie zasad prawa państwowego i moralnego. Podnoszenie się stopy życiowej nie uciska bynajmniej żądzę uczucia i nienasyconego posiadania: jeszcze ją raczej zaostrza” (podkreślenie moje — Z. C.).

Sądzę, że ten dowód na bezideowość, a raczej przeciw niej jako przeciw pewnej postawie niemoralnej i aspołecznej, przemawia mocniej od innych argumentów.

IV

S PRAWA nie została przez mnie doprowadzona do końca, gdyż nie została dana odpowiedź na pytanie: jak leczyć powszechną demoralizację młodzieży? Stwierdzenie choroby o nazwie bezideowości — jest tylko próbą diagnozy. Jeśli przy diagnozie nie umiemy podać lekarstwa zwalczającego chorobę, to stan pacjenta jest podobny do chorego na raka.

Dlatego też nie jestem przekonany do wszystkich antybiotyków, które mówią o zmianie pedagogiki wychowania, o większej trosce rodziców o swe dzieci, o walce z chuliganerią przy pomocy prawa i obyczaju.

Jest rzeczą jak najbardziej słuszną, aby stosować te zabiegi w takim stopniu, w jakim pozwalają na to możliwości społeczne. A więc — jak najwięcej dawać choremu odżywczych witamin — dobrej lektury, obfitego odżywiania — w postaci pomocy moralnej, światła i powietrza — przez podnoszenie jego ciężyny fizycznej.

Zabiegi te są tylko profilaktyczne. Pomimo nich rak może się odezwać. Niespodzianie. Nagle. Casus — Szwecja.

Potrzeba więc jeszcze czegoś

DOGMATYZM I ROZWOJ NAUKI

Stefan J. Kurowski

SŁUSZNE mówił prof. Schaff, że odpowiedź na pytanie, jakie stawia przed nami prowadzona obecnie dyskusja o nauce i kulturze, „wymaga skoncentrowania się na jakimś zagadnieniu, gdyż w przeciwnym razie grozi rozpiętnienie się w zbyt szeroko postawionym problemie”.

Jakie zagadnienie trzeba uznać za decydujące ognio wielkiej dyskusji o nauce i kulturze? Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że zagadnieniem tym jest sprawa istoty i przyczyn dogmatyzmu. Jeśli odpowiedź na to pytanie, wówczas będziemy mogli zająć stanowisko wobec postulatów wzbogacania systemu o zasób nowych kategorii, ustosunkować się do sprawy szkół, w nauce nakreślić plan badań społecznych nad współczesnością oraz sformułować ogólne wnioski w sprawie dalszego rozwoju humanistyki w ogóle.

Jak powiedzieliśmy zjawisko dogmatyzmu było stwierdzone wielokrotnie przez wszystkich uczestników dyskusji, przez samego prof. Schaffa co najmniej dwukrotnie: raz w 1948 roku, drugi raz w 1955. Ta sama zgodność poglądów panuje w ustosunkowaniu się do dogmatyzmu. Jest ono negatywne. Nawet taki niezamierzony jego zwolennik jak T. Kronski również uważał za swój obowiązek powiedzieć kilka słów krytyki pod adresem „scenariatu i niesmiałości”. Gdzie więc przedmiot sporu, jeśli wszyscy zgadzają się w potępieniu? Rzecz polega na tym, że nie wystarczy formalnie odciąć się od dogmatyzmu, nie wystarczy podać rytmicznej krytyce dotychczasową atmosferę panującą w niektórych naukach, nie wystarczy poczynić takich czy innych deklaracji, żeby tym samym wyzwylić się posawie dogmatycznej, zaszywać na miano szczególne przeciwstawia dogmatyzmu. W warunkach istnącego przewyższenia stanowiska dogmatycznego w nauce jest bezkompromisowe, konsekwentne wykrycie przyczyn i korzeni dogmatyzmu.

O CHARAKTERZE TWIERDZEŃ NAUKOWYCH

NIEWĄTPLIWIE dogmatyzm polega na pewnym specyficznym stosunku do twierdzeń naukowych w zakresie przypisywania im atrybutu prawdziwości. Nie jest jednak dogmatyzmem samo przyjmowanie pewnych twierdzeń bez dowodu. Ponieważ nie możemy prowadzić dowodzenia w nieskończoność — pewne twierdzenia w nauce, tzw. zdania naczelną, przyjmujemy bez dowodu i nikt tego faktu nie utosamnia z dogmatyzmem. Również nie jest dogmatyzmem przyjmowanie pewnych twierdzeń nie na podstawie doświadczenia, lecz *a priori*. Aksjomaty nauk dedukcyjnych przyjmujemy *a priori*. Nie jest także równoznaczne z dogmatyzmem stosowanie do twierdzeń naukowych genetycznego kryterium prawdy w postaci autorytetu. Są nieraz sytuacje w nauce, gdy autorytet wypowiadającego dane twierdzenie wystarcza, by przyjąć je jako prawdziwe i sytuacje takie nie oznaczają jeszcze dogmatyzmu.

Co jest więc dogmatyzmem? Zastanówmy się, co jest wspólną cechą zarówno zdań naczelnych, leżących u podstaw poszczególnych nauk, a przyjmowanych bez dowodu, jak i aksjomatów nauk dedukcyjnych przyjmowanych *a priori*, jak i twierdzeń opartych o autorytet, jak i wszelkich w ogóle twierdzeń naukowych? Otóż wspólną cechą tych wszystkich twierdzeń jest to, że nie mają one wartości naukowej same przez się, nie należą do nauki z racji jakichś swoich cech immanentnych, lecz zyskują one wartość, należą do nauki z racji swojego szczególnego stosunku do rzeczywistości, mianowicie z racji ich prawdziwości. Ale to znaczy, że źródło wartości naukowej tych twierdzeń nie tkwi w nich samych, lecz poza nimi, w obiektywnej rzeczywistości. Ponieważ jednak rzeczywistość nie jest w pełni poznana ów stosunek twierdzeń naukowych do rzeczywistości, stosunek zgodności z tą rzeczywistością musi podlegać permanentnej weryfikacji. Oznacza to, że w stosunku do wszystkich twierdzeń nauki zachowujemy permanentnie postawę badawczą. A jakież są konsekwencje postawy badawczej? Postawa badawcza oznacza, że w stosunku do wszystkich twierdzeń naukowych istnieje możliwość ich odrzucenia w świetle przyszłych wyników badań. A więc w systemie twierdzeń określonym jako nauka istnieje powszechna dyrektywa o możliwości odrzucenia każdego z twierdzeń tego systemu ze względu na wyniki przyszłych badań.

Czy ta dyrektywa nie oznacza jednak relatywizacji całego gmachu wiedzy? Nie. Możliwość odrzucenia — to nie znaczy: realizacja odrzucenia. Nauka buduje się systematycznie nie na zdaniach naczelnych i aksjomatach formułując na podstawie przyjętych praw i nowych obserwacji nowe twierdzenia i obejmując pozostawiając coraz pełniej obiektywną rzeczywistość.

Jakie jest więc znaczenie tej dyrektywy? Dyrektywa ta pełni w nauce jak najbardziej podstawowe, jak najbardziej fundamentalne funkcje, decydujące o jej istocie i rozwoju. Funkcje dyrektywy można streścić w trzech punktach: 1. permanentnie zakłada postulat permanentnej weryfikacji, tym samym

nie dopuszcza w żadnej dziedzinie nauki do zastój: żadna teoria naukowa nie może uznać, że jest raz na zawsze sprawdzona i tym samym poniechać dalszej konfrontacji z rzeczywistością; jest to gwarancja zachowania dynamicznego charakteru nauki; 2. postulując możliwość odrzucenia każdego twierdzenia nie dopuszcza do fetyszycacji twierdzeń naukowych; 3. zachowuje wszystkie kierunki badań otwarte.

Rzecz jasna, że dyrektywy nie należy rozumieć mechanicznie. Są różne stopnie owej możliwości odrzucenia twierdzenia naukowego; odrzucenie hipotez jest dniem powszednim nauki; odrzucenie praw naukowych, zastępowanie starych praw nowymi, lepiej wyjaśniającymi rzeczywistość zdarza się rzadziej i musi wynikać z istotnego postępu w procesie poznania; odrzucenie teorii naukowej to już poważny przewrót w danej dziedzinie naukowej, który wiąże się ze zmianą metod badania, udoskonaleniem narzędzi badawczych itp. Wreszcie odrzucenie podstawowych zasad danej nauki jest już prawdziwą rewolucją naukową, której zasięg nie ogranicza się tylko do jednej dziedziny, lecz rzutuje na całą naukę i dlatego też może nastąpić tylko jako wynik gruntownej zmiany ogólnych wyobrażeń o danym odcinku rzeczywistości.

Cóż więc należy rozumieć ostatecznie pod dyrektywą o możliwości odrzucenia twierdzeń naukowych? Nic innego jak tylko to, że w stosunku do każdego twierdzenia, prawa, teorii, zasady naukowej zachowuje się postawę badawczą, to znaczy, że człowiek, który podejmuje badanie zmierzające do ponownej weryfikacji choćby najbardziej podstawowego twierdzenia naukowego, nie przeciwstawia się nauce, lecz przeciwnie pozostaje w granicach nauki. Tak więc zgodne z nauką, naukowe są próby tych, którzy w związku z zasadą nieoznaczoności Heisenberga podejmują nowe interpretacje zasady przyczynowości; również za naukowe należy uznać czynione dawniej próby weryfikacji pierwszej zasady termodynamiki dokonywane choćby przez tych, którzy chcieli zbudować perpetuum mobile; jakkolwiek na gruncie znanej rzeczywistości próby te są skazane na niepowodzenie, to jednak nikt ich nie traktował jako przestępstwo wobec nauki, gdyż prawa termodynamiki nie są świętością. Jeżeli są prawdziwe, wówczas jeszcze jedna weryfikacja prawdziwości te tylko potwierdzi. Wreszcie również za naukowe, mieszczące się w systemie nauki należy uznać np. stanowisko prof. Schaffa, który wychodząc z twierdzeń dialektyki zakwestionował swego czasu powszechność obowiązującej logicznej zasady sprzeczności. Zasada sprzeczności nie jest świętością i próba jej zakwestionowania wychodząca z takich czy innych stanowisk musiała być uznana za całkowicie uprawnioną, mieściła się w granicach nauki, wyrzuciła z powszechnej dyrektywy o możliwości odrzucenia każdego twierdzenia naukowego ze względu na wyniki przyszłych badań.

Ogólnie biorąc dyrektywa o możliwości odrzucenia każdego twierdzenia naukowego ze względu na wyniki przyszłych badań warunkuje trwałość procesu poznania tak długo, jak długo trwa podmiot poznający i przedmiot poznawany.

Co się teraz dzieje, gdy do nauki wkracza dogmatyzm?

Otóż dogmatyzm oznacza pogwałcenie owej powszechnej dyrektywy o możliwości odrzucenia twierdzeń nauki. W stosunku do pewnych twierdzeń zawieszono o działaniu tej dyrektywy, to znaczy, że twierdzenia te nie mogą zostać odrzucone, bez względu na wyniki badań. W tym momencie zaczyna się cały proces dogmatyzacji systemu. Ponieważ pewne twierdzenia nie mogą zostać w żadnym przypadku odrzucone — w stosunku do nich bezprzedmiotowy staje się postulat nieustannej weryfikacji, a tym samym znika bodziec dynamizujący naukę — postawa badawcza. W zakresie zagadnień objętych tymi twierdzeniami następuje zastój poznawczy. Dalej, ponieważ twierdzenia te są nieodrzucałne, zyskują wartość nie ze względu na zgodność z rzeczywistością, lecz ze względu na nie same. Daje to podstawę do ich fetyszycacji. Na tym się sprawa jednak nie kończy. Twierdzenia dogmatyzowane są powiązane z innymi twierdzeniami, a ponieważ są to z reguły twierdzenia o charakterze ogólnym, zakres powiązania jest szeroki. Zdogmatyzowanie pewnych twierdzeń ogólnych prowadzi zatem do dogmatyzacji dalszych twierdzeń, wobec których dogmaty pozostają w takim stosunku, jak racja do następstwa. Proces dogmatyzacji rozszerza się. Tym samym znika postawa badawcza i stan zastój obejmuje coraz więcej dziedzin. Dogmatyzacja szeregu twierdzeń powoduje w konsekwencji zamknięcie poszczególnych kierunków badań; badania stają się zbyteczne. O ile w pewnych dziedzinach badania jeszcze pozostają, wówczas główny wysiłek zostanie skierowany na udowodnienie, że wyniki tych badań nie stoją w sprzeczności z dogmatami. Toteż w większości badań podchodzi się wówczas do przedmiotu badania już z gotowym rozwiązaniem, które nie ma przy tym charakteru hipotezy roboczej, lecz ma charakter dogmatu, który wy-

niki badania mają tylko potwierdzić.

Tak więc w wyniku postępującego procesu dogmatyzacji następuje zmiana charakteru nauki, która oderwana od rzeczywistości przestaje być nauką.

PRZYKŁAD JEDNEGO ROZUMOWANIA

WRÓĆMY znowu do punktu wyjścia całej dyskusji, do sprawy oceny liberalizmu polskiego w pierwszej połowie XIX wieku. Jeśli się chce pokazać dwa ogólne stanowiska w nauce, najlepiej można to uczynić na jak najbardziej konkretnym przykładzie, pokazując ich stosunek do konkretnego zagadnienia, pokazując je niejako „w akcji”.

Mamy dwie oceny liberalizmu polskiego z pierwszej połowy XIX wieku: ocenę M. Straszewskiej dokonaną w książce „Czasospisma literackie w Królestwie Polskim w latach 1832—1848” oraz ocenę prof. Chałasińskiego dokonaną w recenzji z tej książki. M. Straszewska, wychodząc z założenia klasowości kultury i związanej z tym koncepcji walki dwóch nurtów w kulturze antagonistycznego społeczeństwa ocenia na podstawie swoich badań liberalizm polski lat trzydziestych i czterdziestych XIX wieku jako prąd społeczno-kulturalny reakcyjny. Taką oceną twierdziła tym samym założenia, które były punktem wyjścia owego badacza. Prof. Chałasiński natomiast wykazuje absolutną niepełność badań M. Straszewskiej i przytacza fakty pominięte przez nią do-choździ do zupełnie odmiennej oceny liberalizmu, uważając, że był to prąd społecznie postępowy i patriotyczny. Co w tej sytuacji należałoby zrobić z punktu widzenia metody naukowej? Należałoby po pierwsze sprawdzić, czy obie strony operują tymi samymi pojęciami, czy jednakowo rozumieją terminy, w których formułują wyniki badania, mianowicie terminy „postępowy” i „reakcyjny”. Jeżeli stwierdzono by zgodność rozumienia odpowiednio zastrzeżonych terminów, wówczas należałoby sprawdzić, czy przedmiot badania i jego zakres jest identyczny w obu wypadkach. (M. Straszewska dokonała badania fragmentarycznego, nie uwzględniając najbardziej reprezentatywnych w Królestwie czasopism). Jeśliby uzgodniono również i przedmiot badań, a mimo to różnice w wynikach utrzymałyby się, wówczas należałoby zwrócić się do „ostatecznej instancji”, do faktów i przeprowadzić badanie ponownie. Innej drogi nauka nie zna. Przeważny jednak myśli dalej i zapytajmy — tym razem już za prof. Schaffem — „a co by było, gdyby okazało się, że w (tej) konkretnej sytuacji historycznej zawodzi koncepcja dwóch nurtów w kulturze?”... To znaczy, co by się stało, gdyby to ponowne badanie wy-

każało, że liberalizm owego okresu był prądem postępowym? Prof. Schaff nie kończy swojej myśli, a szkoda. Pytanie nie jest bowiem bynajmniej spekulatywne. Otóż stałaby się wówczas rzecz w nauce bardzo normalna: stwierdzono by mianowicie, że pewna teoria, która dotąd zadawalająco wyjaśniała pewien zakres zjawisk, zastosowana w pewnym konkretnym przypadku wyjaśnienia takiego nie dała. Permanentna weryfikacja twierdzeń jest podstawą metody naukowej. Prof. Schaff jednak, który napisał trzy wielkie artykuły przeciw dogmatyzmowi, myśli inaczej. Zamiast zwrócić się do instancji faktów, prof. Schaff pisze: „należy... pamiętać, że koncepcja ta (teoria dwóch nurtów — S. J. K.) nie odgrywa w marksizmie jakiejś drugorzędnej roli. Jest ona najściślej związana z podstawowymi tezami materializmu historycznego o bazie i nadbudowie, o klasowym charakterze kultury itp. Jest ona sprawdzona na bogatym materiale historycznym”. W tym miejscu musimy zauważyć, że próba udowodnienia prawdziwości teorii dwóch nurtów na podstawie tezy o klasowym charakterze kultury musi być uznana za bijący w oczy przykład błędnego koła. Ale nie to jest tu najważniejsze. Okazuje się bowiem, że podstawowym, gdyż na pierwszym miejscu przytoczonym argumentem jest nie zgodność teorii z faktami, lecz to, iż teoria ta jest częścią szerszego systemu twierdzeń. Prof. Schaff pyta: „czy więc badacz stojący na gruncie marksizmu ma prawo odrzucić błąd ną (podkr. S. J. K.) koncepcję, która neguje walkę dwóch nurtów w kulturze? Bez względu tak”. I bezpośrednio potem prof. Schaff konkluduje: „Uważam, że recenzent „Kwartalnika Historycznego” słusznie wykłnął błędność metodologiczną tej prof. Chałasińskiego w zagadnieniu oceny liberalizmu”. W tej sytuacji należy uznać, że stwierdzenie, które prof. Schaff robi dalej, iż w dotychczasowej dyskusji nie udowodniono faktami, że w tym „konkretnym wypadku mamy do czynienia z jednolitym nurtem kulturalnym” nie jest już w tym rozumowaniu argumentem, lecz tylko wnioskiem wynikającym logicznie z tego poprzednich. Argumenty wytoczone wcześniej.

Zobaczmy wreszcie, jak przedstawia się rzecz z faktami. Czyż prof. Chałasiński rzeczywiście nie dostarczył dowodu na poparcie swoich tez? Otóż na podstawie dotychczasowej dyskusji można stwierdzić, że to właśnie prof. Chałasiński przytoczył szereg faktów, które w zestawieniu z fragmentarycznym badaniem M. Straszewskiej biją po prostu w oczy, a które udowodniają prawdziwość jego tezy o liberalizmie, natomiast jego przeciwnicy posługiwali się w dyskusji głównie argumentami tego typu, co przytoczone wyżej. Jeżeli jednak dysku-

sja nie rozprasza wątpliwości, należy podjąć badanie na szerszym materiale, należy zaangażować szerszy zespół badawczy, należy wszechstronnie zbadać zagadnienie, należy za wszelką cenę dążyć do wykrycia prawdy. Innej drogi, powtarzam, nauka nie zna.

Przytoczyliśmy powyżej pewne rozumowanie prof. Schaffa. Przedmiotem rozumowania była próba udowodnienia prawdziwości pewnych twierdzeń orzekających coś o pewnych faktach. Problem dotyczył historii kultury. Jaką metodą dowodzenia zastosowano? Otóż prof. Schaff użył jakby trzystopniowej argumentacji. Najpierw wykazał, że twierdzenie, którego prawdziwość ma być udowodniona, wynika z twierdzeń ogólniejszych. Po drugie, prof. Schaff odwołał się do ideowej solidarności badaczy. Po trzecie wreszcie wyraził przypuszczenie, że i przytoczone w dyskusji fakty przemawiają za prawdziwością omawianego twierdzenia. Jak określić taki typ rozumowania, taki sposób argumentacji? Jest to rozumowanie w całym tego słowa znaczeniu dogmatyczne. W całej rozciągłości występują tu wszystkie te cechy, które opisaliśmy wyżej mówiąc o istocie dogmatyzmu: w stosunku do pewnych twierdzeń zawieszono się dyrektywę o możliwości ich odrzucenia ze względu na wyniki przyszłych badań, wobec czego dla dochowania wierności tym twierdzeniom apeluje się do motywów pozanaukowych i wreszcie w prowadzonym jeszcze badaniach główny nacisk kładzie się na wykazanie, że nowozbadane fakty nie przeczą teżom naczelnym.

Z takim postawieniem sprawy — o ile można z dotychczasowych wypowiedzi wnosić — prof. Schaff i pozostali uczestnicy dyskusji, podzieliający jego stanowisko prawdopodobnie się nie zgodzą. Wytoczą przy tym argumenty, które zawierały się już zresztą w wypowiedzi prof. Schaffa. Uprzedzmy więc ich i podejmijmy dyskusję z tymi argumentami.

O ROLĘ ZAGADNIEN METODOLOGICZNYCH W NAUCE

PIERWSZY z tych argumentów polega na twierdzeniu, że tezy, których niewzruszalność usiłuje się utrzymać, miały charakter wyłączony metodologiczny. Prof. Schaff pisze: „Dla uniknięcia nieporozumienia pragnę pośkreślić, że gdy mowa jest o poglądach badacza i o ich zgodności z marksizmem, cały czas idzie o poglądy metodologiczne (podkr. prof. S.), nikt nie zarzucał prof. Chałasińskiemu niezgodności z marksizmem z powodu oceny konkretnego zjawiska historycznego, jakim jest liberalizm w Polsce pierwszej połowy XIX wieku... Inaczej natomiast wygląda sprawa, gdy idzie o metodologię, gdy idzie o podejście badawcze do zjawisk kultury...”. Również w wielu innych miejscach prof. Schaff zaznacza, że idzie mu o sprawę

metody, o uznanie w humanistyce marksistowskiej metodologii, stwierdza, że mowa jest o dyrektywach metodologicznych itp.

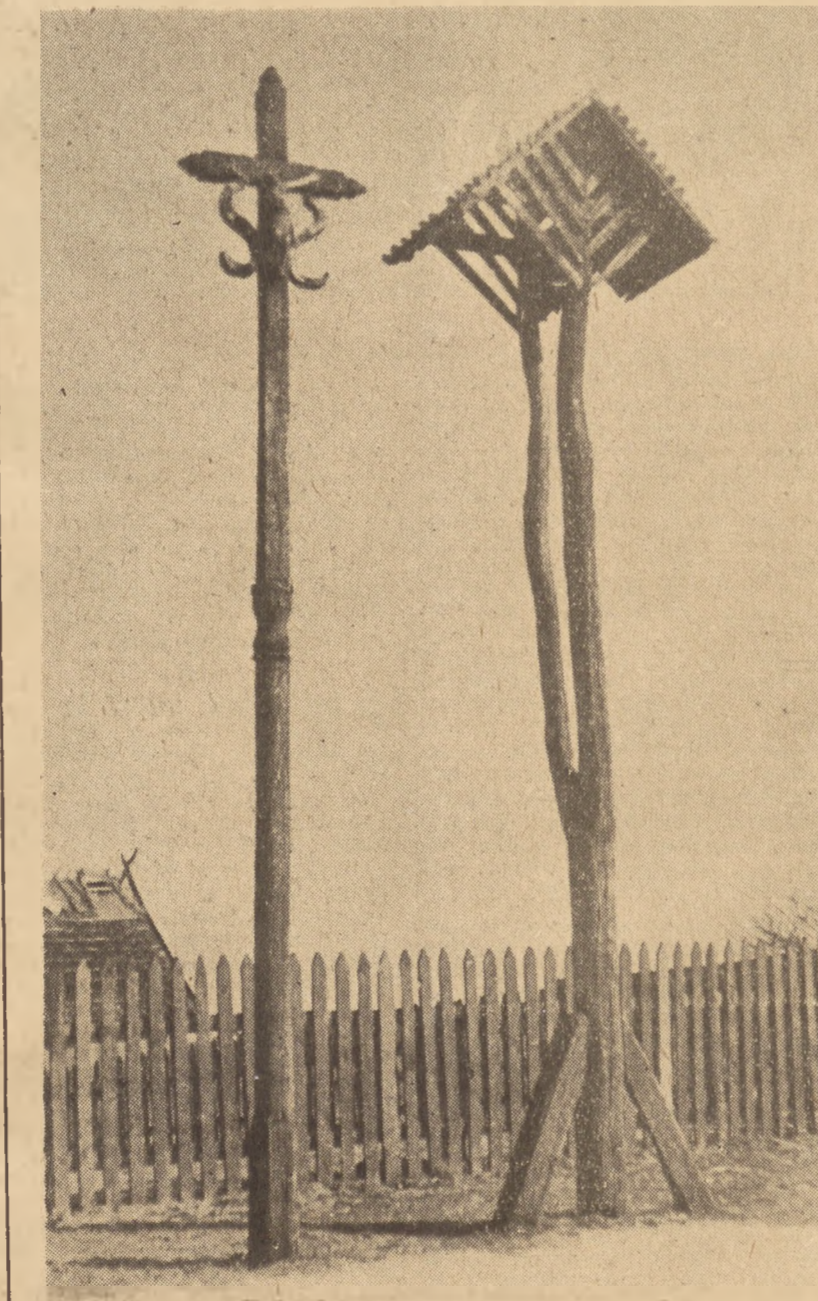
Warto tego argumentu polega na tym, że jeżeli tezy marksizmu, o które chodzi, mają charakter wyłącznie metodologiczny, a więc formalny, wówczas rozstrzeżenie, żeby ważność tych tez utrzymać bez względu na to, co przyniosą badane fakty, jest uzasadnione, gdyż tezy te nie o faktach merytorycznych nie orzekają. Ale tak też właśnie rozumiał tezę o dwóch nurtach prof. Chałasiński: jako dyrektywę metodologiczną! Lecz z tego wywnioskował on właśnie zupełnie inne wnioski. Prof. Chałasiński bowiem pisze: „Lenin nigdzie nie wypowiedział poglądów, że jego... wypowiedź o dwóch kulturach (burżuazyjnej i demokratycznej) w obrębie narodu wyczerpuje cały mechanizm rozwoju kultury”. I dalej: „Prawdziwość tych poglądów Lenina i płodność tej dyrektywy (podkr. prof. Ch.) nie wyklucza jednak prawdziwości mojego poglądu, według którego dzieje kultury świadczą niezabie... o ciągłości” (podkr. prof. Ch.) rozwoju kulturalnego...”. I wreszcie: „Pitanie nie polega na tym, czy koncepcja dwóch nurtów jest prawdziwa, lecz na tym, jaki jest jej zakres, czy aspekt zjawisk, które wyjaśnia?”

Na dyrektywę metodologiczną więc zgodę. Ale wówczas bądmy konsekwentni. Dyrektywa metodologiczna jest to zalecenie pewnego sposobu badania. A sposoby badania mogą być różne. Zależą od przedmiotu badanego, od materiałów dostępnych dla badacza, od narzędzi badawczych itp. Nie można więc postulować *a priori* jednej jedynej metody badawczej. Ta metoda badawcza jest lepsza, która szybciej i pewniej prowadzi do stwierdzenia faktycznego stanu rzeczy, do prawdy. Ale w każdej metodzie oprócz określenia sposobu badania istnieją pewne założenia co do przedmiotu badanego przyjęte *a priori*, założenia merytoryczne. I z tego badacz posługujący się daną metodą zdaje sobie sprawę. Jeżeli te założenia okazały się niezgodne z wynikami badania, odrzuca je, zmienia metodę. Im bardziej ogólna jest metoda badania, im szerszy obejmuje zakres zjawisk, tym mniej miejsca zajmują w niej założenia dotyczące rzeczywistości, tym bardziej formalny charakter mają jej dyrektywy. Otóż najbardziej ogólny, najbardziej formalny charakter ma metoda, którą określamy jako metodę naukową. Tej metody nie możemy odrzucić, jeżeli stoimy na gruncie nauki.

Obserwujemy w dyskusji próby formalizowania teorii marksistowskiej nie kończą się na przed-

(Dokończenie na str. 6)

ANNA POGONOWSKA



Drewniana kapliczka z dzwonnicy
Jedyny tego rodzaju zabytek sztuki ludowej
fot. z arch. Muzeum Mazurskiego w Olsztynie

Ludowy świątkarz poeta

Na papierze pakunkowym
Rozwijanym w skrzyni kwiciastej
Sylabami zapisuje improwizacje
Sylabami — nie odczuwa odrębności słów —
Wywołuje tajemnice świata.

Jak Thales wywodzi byt z wody, z podhalańskich strumieni

Niezna mu groza współczesnego atomu
W Boga wierzy i nie wierzy
Gdy zasypia
Pod belkami ciemności.
Stos jego
Utrwałonych na wieczność
W antycznych rulonach
Lud otacza drewniany.
Świątki o twarzach dewocyjnych
O nieruchomych twarzach z ołtarzy okolicznych parafii
Dzieci jego pasji — niezwywe
Plody jego geniuszu — martwe.

Jest jeden Frasołbiwy
Wystrugany z sęka
Pokrzywiony jak sęk
Spętany pajęczyną w najciemniejszym kącie
Bije w nim serce współczujące
Kiedy świątkarz się krzywi w braku łez.

El Greco

Armie chmur, spiże nieba księżycowego
Powtarzają zjawiska ziemi —
Ciemność błękitu, kir zieleni
Krucy gmach świata, słaby mur Toledo
Nabrzmiałość czasu, rozjarzenie chwili,
Kamieniejąca piana —
Chwyta patyki krzyża Dominik
Żyje gdy ścina lawa.
Na śmierć idące i na zmartwychwstanie
W ołwiach mgły ciała —
Bezsilne nieśnięcie, palce białe
Pióra wiotkie Ikara.
Księżciu de Orgaz umarłemu
Zakuto w zbrojne rękawice ręce
Bóg owocuje niebu
Lotne są duchy ciężkie.

BIC ALBO NIE BIC? — CZYLI TRUDNA SPRAWA DEBIUTU

SPOŚRÓD — przyjemnych zresztą — godzin spędzanych w latach gimnazjalnych nad łacińskimi tekstami, szczególnie miło zapisała mi się w pamięci lektura niefrasobliwej opowieści o chłopięcych latach Owidiusza. Utalentowane dziecko nie znajdowało zrozumienia dla swoich utworów u srogiego ojca, który metodą znaną nieoficjalnie pedagogice od dawien dawna, tzn. kijem, próbował wybić z syna poetyckie ciągotki. Szczególnym zbiegiem okoliczności prześlagał go, jakie mały Owidiusz wypowiadał przy akompaniowaniu uderzeń: „Iam, tam non faciam versus, carissime pater” („Już, już nie będę tworzył wierszy, najdroższy ojcze”) układały się w rytm jambu — czyli były znowu wierszem...

Wydaje się, że antyczna anegdota jest bardzo stosownym mottem dla artykułu o trudnej sprawie literackiego debiutu — mottem w dodatku bardzo instruktynym dla krytyki debiutów i debiutantów. Fakt pojawienia się nowego nazwiska w piśmie literackim, nowego autora na półkach księgarskich jest przecież nierozdzielnie złączony z jakimś przyjęciem go przez czytelnika, którego właśnie reprezentować, a przynajmniej winien reprezentować analityczny debiut krytyki. Krytyk jest często tym, który debiutanta zamienia w *homo unius libri* — duża rządziej toruje drogę „nowemu” w literaturze do następnych książek, do wysniewanej w debiutanckich marzeniach — sławy pisarskiej. Dlatego szczególnie przy debiutach sprawy, nadzieje, zwycięstwa i klęski pisarzy i krytyków literackich są wspólne.

Sprawa debiutu jest ważna i trudna. Młoda czołówka pisarska, która rok rocznie pojawia się na szpaltach pism, która rokrocznie ustawia swoje książki jako *p i e r s z e* na specjalnie do tego przeznaczonych półkach bibliotecznych — jest wielką niespodzianką i nadzieją żywej kultury każdego narodu. Po ilości, a szczególnie po jakości debiutów można nieraz nieomylnie rozpoznać stadium rozwoju lub niedorozwoju literatury w pewnym okresie historycznym. Nikt nie zaprzeczy, że okres, który obecnie przeżywa nasza literatura, należy do trudnych, brzemiennych w skutki — przemowlowych. Debiutem literackim, jakie powstają w naszych czasach, należy się więc dużo opieki i troski.

Najogólniej formułując problem trzeba powiedzieć, że z debiutami i debiutantami literackimi nie jest obecnie dobrze. Mimo że stworzono tak zwane Koła Młodych i kluby literackie przy Związku Literatów Polskich — mimo że poszczególne czasopisma literackie, a nawet dodatki kulturalne do dzienników poświęcają od czasu do czasu jedną kolumnę młodej twórczości — mimo wreszcie, że usankcjonowany już został zwyczaj wydawania co roku Almanachu Młodych, będącego jak gdyby przekrojem przez najwartościowszą twórczość reprezentantów wchodzącego w literaturę pokolenia pisarzy, może jeszcze — kandydatów na pisarzy. Wszystkie te zabiegi sprawiają jednak dotąd przeważnie wrażenie pokwitowania opieki nad młodym piarstwem — a nie ujęcia go w pewne rygory, skierowania go w uregulowane, szybkiej wiodące do celu koryto. Debiuty w czasopiśmie pomija się na ogół milczeniem. Debiuty książkowe przyjmują się na ogół kwaśną krytyką, ograniczającą się przeważnie do aptekarskiego wyważania i wymierzania niedociągnięć, prześleń, braków...

Ale dzieje się jeszcze gorzej: niewiele ludzi czyta debiuty, niewiele pozwala sobie na dość mało opłacalne ryzyko poświęcenia dodatkowej chwili czasu, by przebiec wzrokiem jeszcze jedną szpaltę czasopiśma — albo zapłacenia kilku złotych za książkę nieznanego autora. Tutaj właśnie tkwi przyczyna niewielkich nakładów „pierwszych” książek: wydawnictwa z góry asekurują się na wypadek załęgania nierozciętych tomów na półkach księgarskich. Równie niechętnie ustosunkowują się do pierwszych książek młodych pisarzy biblioteki — z góry wiadomo, że nie ustawiają się do tych utworów długie kolejki niecierpliwych czytelników. Reasumując: przeciętny czytelnik nie chce już czytać debiutów.

Nie ma w tym nic dziwnego. Kiedy ryzykujemy (bo to jest jednak ryzyko: bądź co bądź posiadamy w ciągu dnia i... życia ograniczoną ilość czasu na lekturę) przeczytanie utworu lub książki, za którą nie idzie często absolutnie ani ani opinia krytyków, ani rada znajomych, ani wreszcie (jakże częsty) snobizm — „tę książkę wypada przeczytać”? Wtedy, gdy pociąga nas w nieznaną powieść, tomiku wierszy, utworze dramatycznym nowość, oryginalność — nie s p o d z i e m a l e d e b i u t a n t a. Debütujący pisarz winien być niejako z zażeraniem „swawolnym Dziem”, *enfant terrible* literatury współczesnej... I było tak nieraz w dawnych, choć nie zawsze dobrych cza-

sach historii literatury — nawet w latach międzywojennych. Od okładki i tytułu do ostatniej kropki, czy braku kropki w utworze — wszystko tryskało pragnieniem oryginalności, chęcią powiedzenia tego, czego nikt dotąd nie powiedział, pasją odkrywczych nowych lądów w tajemniczym świecie ludzkiej kultury. Oczywiście, było to wszystko nieraz „naciągane”, „przedobrze”, w gruncie rzeczy mało oryginalne, a jeszcze mniej smaczne i — piękne. Ale było...

Od kilku lat debütujący w polskiej literaturze współczesnej nie chcą być oryginalni — chcą być za to nieskazatelnie poprawni ideowo i artystycznie. Jeśli dawniej pisarz chciał pokazać tylko c o s — ale na co nikt nie zwrócił uwagi — oni chcą pokazać wszystko, co pokazać można i należy. Dzisiejszy noworodek literacki przychodzi na świat z doskonale wykształconym je d n y m zmysłem — odpowiedzialności pisarskiej: on nie chce i... nie może czytelnika z g o r s z y ć. Debiut nie jest wezwaniem do dyskusji — on tę dyskusję od razu podsumowuje i zamyka.

Dlatego diabeł schematyzmu egzorcyzmowany zawzięcie przez krytyków, wygoniony nieraz z powodzeniem przez pisarzy starszego pokolenia — w wierszach i opowiadaniach młodych panoszy się mocno i wytrwale. Dlatego czytelnik cofa się od czasu do czasu przerażony, zobaczywszy w książce nieznanego, młodego pisarza siwobrodre widmo deklaratywności, ilustratorstwa — wszystkich grzechów głównych naszej powojennej literatury. Dlatego...

Dlatego debiuty są nudne. Wiedzą, jaki debiut doczekał się omówienia na łamach wszystkich pism literackich i znikł z półek księgarskich? „Kurz na miłość” Jerzego Stadnickiego. Czy to jest książka wyjątkowo dobra? Bron! Boże! Ale opowiadania te potrafiły jakoś literacko ująć problemy życiowe, dotychczas przez pisarzy niezauważone. Co więcej: proza Stadnickiego potrafiła te zagadnienia przeopić osobistym zaangażowaniem się w nie pisarza. Za opowiadaniem, za jego bohaterami czytelnik mógł dostrzec — prawdziwą lub nie — ale jakąś postać c z ł o w i e k a — autora.

Zdawałoby się, że to należy do trudnych: debiut jest młoda, młodzieńcza poezja lub proza młodego pisarza. Ten fruizm został przesunięty przez polskie debiuty ostatnich kilku lat do rzędu pięknych, a niesprawdjalnych „złotych myśli”. Weźmy jako przykład debiut młodej pisarki, mającej do tego temat młodzieńcy: opowiadania Ludwiki Woźnickiej. To nie są zle opowiadania: mają słuszną, mocny kregosłup ideowy, ich „mięso” faktów artystycznych posiada zarówno, czasem może tylko nieco rozmazany mieszaniną opowiadania z reportażem — wykład. Ale są to opowiadania grzeczne, dobrze wychowane: autorka mówi o faktach z zakresu wychowania osobistego i społecznego młodzieży (nieraz wołających o pomoc do Nieba) głosem spokojnym, kulturalnym, nie zdradzającym prawie w niczym gwałtownego zniecierpliwienia. Powstaje paradoks: aby nie zgorzknąć, nie zceprawować czytelnika należy jak najsumienniejszym wstrzymać się własnego wkładu w utwor literacki, należy zawsze chronić się za gotowe rozwiązania ideowe i wzory artystyczne.

Świadomie przejąskrawiam — ale nie po to, by uwiesić debiutantom u szyi kamień krytyckiego potępienia i zatopić w głębokościach historii literatury. Ten brak młodzieńczości, oryginalności, odwagi pisarskiej — to nie ich wina, to grzechy i błędy starszych. Debiutant jest zwykle wątłą roślinką artystyczną i chętnie opłata się wokół mającej wszelkie pozory trwałości i niezmienności podpory. Za grzechy debiutantów odpowiada, bo odpowiadać musi cała współczesna literatura.

Przychodzi teraz kolej na drugiego oskarżonego w sprawie współczesnego debiutu literackiego: na krytyka. Z postępowaniem krytyków, więcej: z postępowaniem redakcji pism literackich wobec oficjalnej oceny debiutów i debiutantów nie jest dobrze. Tutaj właśnie zaczyna się dylemat: bić albo nie bić i kilka innych, smutnych i brzydkich problemów.

Jak się rzekło, generalnie uważa się twórczość młodych jako jeden z ważkich i gorzkich problemów naszego bieżącego życia literackiego. Nie zauważa się natomiast poszczególnych osób z tych ogólnie nazywanych „młodych”: czytni się to dopiero przy pierwszej publikacji książkowej. Nic dziwnego, że takim artykułom i recenzjom można często dać nagłówki: „Mądry krytyk po szkodzi”...

Dopuszczenie debiutanta do głosu w piśmie lub książce — to wielka rzecz, to fakt, za który ktoś, u licha, musi ponosić odpowiedzialność. Czytelnik musi wiedzieć i rozumieć, dlaczego (dobieram abstrakcyjny przykład) na tej samej stronie tygodnika społeczno-kulturalnego figurują obok siebie wiersze Bernsteina i Staffa, dla-

czego to samo wydawnictwo wypuszcza na rynek księgarski utwór Woźnickiej i Dumasa. Nie każda kolumna twórczości młodych jest opatrzona wiążącym słowem opracowującego ją krytyka czy pisarza, a już do rzadkości należy taka przedmowa Stefana Lichańskiego do opowiadań Stadnickiego. Wiersz, opowiadanie, tomik debiutanta idzie najczęściej samotnie w świat i co najwyżej po kilku miesiącach zakurzenia się w roczniku czy na półce księgarskiej dostępuje „szczęścia” dorżnięcia go przez krytyka lub publicystę.

„Pan wybacz — zwołuję oburzeni redaktorzy pism — pan zupełnie nie orientuje się w możliwościach technicznych tygodnika literackiego, pan nie wie, że cierpi on na chroniczny brak miejsca do omawiania istotnie ważnych, palących problemów!” Znam, znanadto dobrze znam... Na to jednak jest rada, trochę może drażniąca: poddać surowej selekcji debiutantów, „młody” materiał, który się publikuje w piśmie lub książce. Niech to będą naprawdę utwory pachnące młodością i niespodzianką, a nie starym, wytartym i zjeżdżonym lakierem dawnej, dobrze znanej sztampy. Brak komentarza przy tego rodzaju wierszach, fragmentach prozy, książkach — nie wymaga wtedy uzasadnienia.

Na takie *dictum* odpowiadają na pewno debiutanci i młodzież literacka: „czyż pan nie wie, jakim przeżyłem, jakim bodźcem do pracy, jakim wielkim wydarzeniem jest dla młodego pisarza druk jego utworu w czasopiśmie lub książce?” Znowu wiem, znanadto dobrze wiem... Na to również jest rada, a raczej dwie rady. Po pierwsze stworzyć pismo młodzieży literackiej, gdzie mogłyby przechościć chrześc bojowy czasopiśmienniczy debiuty. Po drugie: otworzyć w każdym tygodniku literackim * miesięczną, lub dwumiesięczną kolumnę młodych. W jednym i drugim wypadku konieczny jest nadzór starszych, doświadczonych i życzliwych młodości krytyków i pisarzy. W jednym i drugim wypadku konieczna jest jednak surowa i troskliwa selekcja utworów przeznaczonych do druku. Zaden z wielkich pisarzy nie był od razu publikowany (zobacz chociażby „Dzienniki” Zeromskiego...).

Ale wróćmy pod hasłem: „medic, cura te ipsum” do sprawy krytyki debiutu. Przed kilkoma mie-

siącami „Nowa Kultura” opublikowała obok siebie recenzje dwóch pierwszych książek młodych pisarzy. Tytuł jednego z omówień brzmiał: „Obiecujący debiut”, tytuł drugie — „Przedwcześnie”. Nie chcę wchodzić w tę chwilę w merytoryczną ocenę jednego i drugiego omówienia — idzie mi o sam sposób ich zestawienia. Nad jednym debiutem postawiono z g ó r y znak nadziei, nad drugim — krzyżyk potępienia i klęski. Czy to jest sprawiedliwe i słusne? Znany jest przykład Aleksandra Fredry, który pod wpływem twardej i — jak się potem okazało — niesłusznej krytyki przestał publikować i wystawił swoje komedie, był jednak zbyt rozmiłowany w pięknej sztuce pisania, aby zaniechać twórczości na użytek biurka. Takiego hartu ducha trudno przecież wymagać od każdego debiutanta...

Czyż znaczy to, że wobec debiutów literackich należy z założenia stosować „taryfę ulgową”? Nie, po stokroć nie! Trzeba jednak dokrytyki debiutów przykładać w polityce redakcyjnej szczególnie ważną, ostrożną i odpowiedzialną miarę. Pisałem swego czasu, że nie jest właściwe powierzenie recenzowania debiutów młodym, niedoświadczonym krytykom. Powtarzam to raz jeszcze: właśnie pierwsze, młode książki powinny trafiać na warsztat wytrawnych i doświadczonych krytyków literackich — tak, ażeby wyrok wydany przez nich miał wszelkie znamiona autorytatywności, doświadczenia i uczciwości w ocenie. Cenię bardzo zryżliwość i Jowip w wypowiedziach krytyczno-literackich — wydaje mi się jednak, że recenzji z debiutu nie wolno składać się w y ł ą c z n i e z tych dwóch składników. Zostawmy to dla starszych, bardziej uodpornionych na krytyczne pociski pisarzy...

Generalną wadą debiutów literackich naszych czasów jest — o bok wymienionych wyżej — mała dbałość o rzemiosło pisarskie, o kulturę wyrazu artystycznego. Właśnie na wypunktowaniu — rzetelnym i dokładnym — tej wady zasadzać się winna przede wszystkim recenzja debiutu. Krytyk literacki jest posiadaczem — a przynajmniej winien nim być — dużej kultury i wiedzy o literaturze, czyli tego, na czym zwykle zbywa, głównie ze względu na młodość, debiutantowi. Dlatego u-

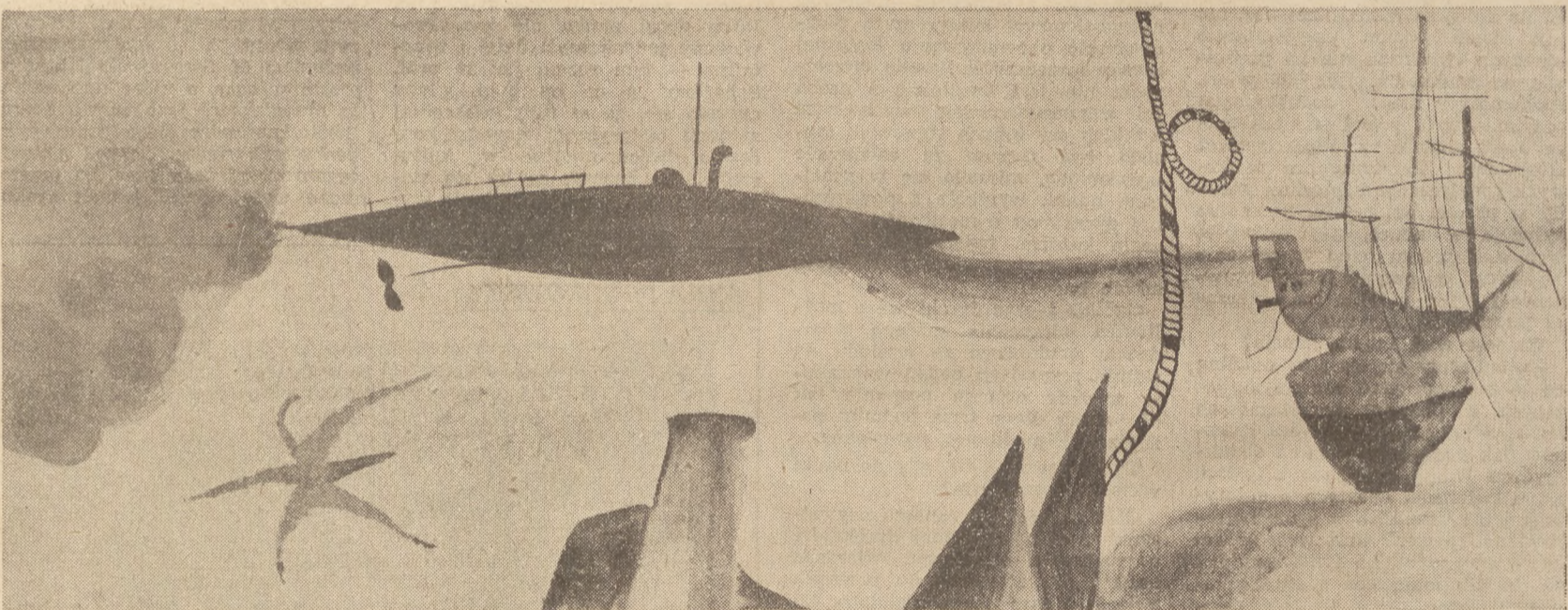
dla młodego pisarza, dzięki której uniknie on w przyszłości wykroczeń i grzechów przeciwko podstawowym prawom rządzącym literaturą.

Na to jednak, aby zapanował taki idealny stan rzeczy, aby wilki krytyczne troskliwie pilnowały pisarskie owieczki przed zapędzaniem się na niedozwolone i niebezpieczne łąki i mokradła — trzeba podnieść poziom etyki zawodowej debiutantów. Wymienione na początku artykułu środki i instytucje, które miały otoczyć opieką młodą twórczość, doprowadziły do powstania niesłychanie niebezpiecznego, wręcz rozkładowego zjawiska: braku zaufania młodych pisarzy we własne siły. Pewno: nie ulega wątpliwości, że w naszej literaturze współczesnej koterie i koteryjki, klikki i klikczki, protekcje i protekcyjki, nie należą — niestety — do bezpowrotnej przeszłości. Niedobrze jednak, gdy młody pisarz zaczyna liczyć tylko na taką pomoc w swej drodze twórczej, gdy — na dobitkę — domaga się niejako jej prawnego uregulowania i usankcjonowania. Wielki męczennik, jaki nad współczesną literaturą i sztuką sprawuje obecnie państwo i społeczeństwo nie oznacza przecież wyrzeczania młodzieży literackiej we wszystkich trudach i niebezpieczeństwach ich pięknego zawodu. Młody pisarz musi zrozumieć, że z wydaniami, opublikowaniem jego pierwszego, czy drugiego utworu związane jest niebezpieczeństwo i ryzyko, zacięta walka, którą o n właśnie powinien podjąć i wygrać. Na młodych utworach literackich, na debiutanckich książkach, nie znać, niestety, śladów tej walki, prób przeparcia własnego zdania i poglądu wobec redakcji czy wydawnictwa. To jest również nie najmniejszy powód wypunktowywanej wyżej grzeszczoności i gładkości debiutanckich rekonansów. Wniosek z tego: przeszkoda na drodze młodego pisarza nie doprowadza go zawsze do skreślenia na niej karku, przeciwnie — pomaga mu, utrwała w nim jego istotne, naprawdę własne oblicze.

W powyższych rozważaniach sprawy debiutów zaplatały się nierozdzielnie z problemami twórczości młodzieży literackiej w ogóle. Nie ma w tym nic dziwnego: odkąd istnieje literatura, debiut był zawsze przywilejem i obowiązkiem jąta z tego punktu widzenia recenzja może się stać walną pomocą

młodości. Wynika jednak stąd praktyczny i logiczny wniosek: dla podniesienia jakości debiutów trzeba rozciągnąć bardziej troskliwą i konsekwentną opiekę nad wszystkimi, którzy jeszcze nie zdobyli sobie własnego imienia w literaturze współczesnej, a mają do tego pewne niewątpliwe kwalifikacje. Lwa część tych obowiązków spada na Związek Literatów Polskich, wydawnictwa i redakcje periodyków literackich. Konkretnie proponuję: przeprowadzanie w niektórych oddziałach ZLP weryfikację członków kół młodych rozszerzyć na cały Związek, usuwając z tych najmłodszych komórek organizacyjnych wszystkich, którzy zabłąkali się do nich przez snobizm, megalomanie, niedostateczne uswiadomienie sobie, czym jest powołanie pisarskie — czyli przez pomyłkę. Natomiast nasi pozostawiamy po tym przesianiu młodym roztoczyć troskliwą i odpowiedzialną opiekę polegającą nie na prowadzeniu za rączką, ale na delikatnym i mądrym w y c h o w a n i u (nie: uczeniu) świeżego narybku literackiego. Dalej: chciałoby, aby w wydawnictwach wszelkie nadchodzące rękopisy autorów o nieznanym nazwisku dostawiały się do rąk redaktorów o największym (a nie — jak nieraz dotąd bywało — znikomym) kwalifikacjach literackich i zawodowych, którzy potrafiliby nie tylko odrzucić, czy zakwalifikować utwór do druku — ale wytłumaczyć debiutantom jego istotne braki, uzasadnić w sposób przekonujący — a nie olimpijski — swoją decyzję. W wypadku zakwalifikowania debiutu książkowego do druku konieczna jest szczególnie uważna i troskliwa opieka takich redaktorów nad rekonsem. *Mutatis mutandis* ten sam desiderat kieruję do redakcji czasopiśm literackich. W ogóle: więcej mądrości i selekcji w dopuszczaniu debiutów do druku, więcej wytrwałości, myśli wychowawczej i odpowiedzialności w opiekowaniu się młodymi twórcami, których prace jeszcze do tegoż druku nie dojrzały.

Zatem: bić albo nie bić debiutantów, debiutu, kola i twórczość młodych? Od czasów owidusowego taty pedagoga (także literacka) posunęła się tak daleko, że różga spada (a przynajmniej powinna spaść) do roli rekwiwitu w muzeach rodzinnych. A poza tym — kij ma dwa końce...



PIERWSZY podszedł do mnie wierzchnie, marynarzom brakło już w klasnych komorach statku powietrza. „Nautilus” wynurzył się — jak wielki, stalowy kaszlot. Teraz trzeba... teraz trzeba — szukać... Co to mi mówił kapitan Nemo? Jaki kapitan?... — przecież ja nim jestem! Stegnąłem po lunecie. Jest. Na horyzoncie czerniała zygakawato: Wyspa tajemnicza. Kazalem zapalić wszystkie reflektory. Muszę przecież odnaleźć drogę do Podwodnej Groty...

POCHYLONY, mokry od potu, bitem zauzięcie w osypującą się skałę. Tu przecież według planów, w tej grocie powinny się znajdować skarby z Porto Bello. Pracowałem, mrużąc z pasją ulubione „hej-ho i butelka rumu”. Aż zsunęła mi się z oka czarna przepaska. Nagle, za którymś uderzeniem skała obsunęła się, omal nie łamiąc mojej drewnianej nogi i odsloniła obszerną wnękę... Już zbliżyłem pochodnię, gdy papuga siedząca na moim ramieniu zaskrzeczała: „John Silver — uwaga! — Uwa — ga!!!”. Odwróciłem się byskawicznie i wyrwałem zsa pasa pistolety. Toporek rzucony przez Wesolego Jima, wczepił się w skałę nad moją głową. Wypaliłem. Dym snujący się gęsto z łuf przypomniał mi...

„Dym snujący się z kominów mijającego nas parostatku przypomniał nam, że to już czas na obiad. Uważnie holując tratwę, łagodnymi pchnięciami draga, dobiliśmy do małej uroczej zatoczki. R-palwoszy ognisko, siegnęliśmy do kosza z zapasami. „Jak sądzisz, Hucku — zapytałem — czy uda się nam dzisiaj odnaleźć Murzyna?”

„Podróż trwała długo... Kiedy dałem rozkaz wypłynięcia na po-

Powrót do

„Nie wiem” — odparł uśmiechając się jakoś dziwnie...

„Nagle przestalem być Tomkiem Sawyerem i ujrzałem siebie w swej właściwej postaci, siedzącego obok prawdziwego Tomka i Hucka. Nie okazali zdziwienia. Huck zapytał: „Czego tu pan szuka?” Drgnąłem. A więc — niestety — jestem już napowrót „panem”. Na pytanie nie potrafiłem odpowiedzieć. Wpa-trzyłem się milcząco w rozkwitającą czerwień i złotem polana. „A ja wiem, czego pan szuka” — w głosie Hucka brzmiała nuta chłopięcej przechwałki — „pan szuka: w y j s c i a p o z a s i e b i e, przekroczenia siebie”...

Ocknąłem się spośród tak dobrze znanych czterech ścian. No tak, przecież poprzedniego wieczoru wędrując Nowym Światem przystawałem kilkakrotnie przed wystawami, z których wychodziły wprost naprzeciw oczom przechodnia dziesiątki kolorowych tomów. Tomów, których tytuły jeszcze trzy lata temu można było znaleźć — tylko w zakamarkach antykwariatów.

Sięgnąłem na półki mej biblioteczki. Po kilku minutach leżało przede mną dziesięć powieści siedmiu popularnych klasyków literatury awanturniczej.

Oto ich tytuły (wszystkie ukazały się w roku bieżącym wydane przez „Iskrę” i „Naszą Księgarnię”): F. Cooper: „Ostatni Mohikanin”; „Śpieg”; J. London: „Wilki morski”; J. Curwood: „Najdziksze serca”; R. L. Stevenson: „Wyspa

skarbów”; „Porwany za młodu”; K. Smith: „Złoto z Porto-Bello”; M. Twain: „Przygody Tomka Sawyer’a”; „Przygody Huckle’a”; J. Verne: „Wyspa tajemnicza”.

PRZEGLADAJĄC tytuły i nazwiska, od razu łączyły się z tematyką utworów. London: *Morza Południowe*. Poszukiwacze złota. Stevenson: *Korsarze*. Tajemnica. Groza. Twain: *Awanturnicy* chłopięce. Verne: *Fantazja*...

Fantazja? Czy to wszystko nie jest Fantazja? I czy nie dlatego właśnie — wszystkim młodym (bez względu na wiek fizyczny) — tak się podoba? A czym jest Fantazja? Podsuwają się ustulone określenia: „o m a n t y k a l e n i w y c h, którzy nie widzą...”. „po granie sie w u l u d z i e”, „oderwanie się”...

Czy chodzi o sam miąższ fabularny, o mniej czy bardziej fantastyczne przygody, opisy, typy ludzkie, sytuacje, czy o c o s w i e c e j? O co, czego nie daje, nie może dać lektura książek Tomasza Manna czy Anatola France’a, Lwa Tolstoja czy Zofii Natkowskiej...

Jak dojść do tego s e d n a ?

PRZED kilku laty przeprowadzono energiczną akcję rugowania z bibliotek książek bezwartościowych. Nie bardzo wtedy rozważano się w istotnej składowości wychowawczej, toteż zdarzało się,

OD STRONY KŁOPOTÓW DOMOWYCH

RODZINA jest podstawową komórką społeczeństwa. Jakże to brzmi banalnie, wyświechtanie, ale mimo wszystko, to prawda. Rodzina, ta najmniejsza, najbardziej podstawowa komórka ma w życiu społecznym olbrzymią rolę do spełnienia. Od sprawności jej funkcjonowania, od zdrowej atmosfery, po prostu od dobrych czy złych nastrojów ludzi, którzy się na nią składają, zależy w dużej mierze życie społeczne.

Jest również prawdą oczywistą, że w okresach trudnych, gdy człowiek wymaga od siebie dużych wysiłków, gdy społeczeństwo od jednostki oczekuje wielkich osiągnięć — rodzina może być albo kulą u nogi, albo też źródłem siły, żywności, radości.

Jak z tym jest u nas?

Rodzina weszła w kontakt z socjalizmem w sposób jednocześnie niezmiernie twórczy i bardzo trudny. Gdyby pod tym względem porównać okres przedwojenny z obecnym, uderza w oczy niezwykła różnica atmosfery, otaczającej byłą rodzinę. Dzisiejszej atmosferze spokoju i zaufania do przyszłości — z wczorajszą atmosferą bezradnej jeności, lęku przed złą niespodzianką, która może człowieka w ciągu krótkiego czasu pchnąć na dno nędzy.

Bądźmy dokładni. Była przed wojną dość pokorna kategoria ludzi, których życie rozwijało się spokojnie i szczęśliwie. Ci ludzie właśnie przekazali nam do dzisiejszego Polski przedwojenną — zasobną i przedzielną. Ponieważ byli oni wpływowi, materialnie i kulturalnie, potrafili nieraz wizję tę utrwalić tak mocno, że do dziś u wielu przetrwała, przestając prawdziwą, smutną rzeczywistością.

Są takie i dziś trudności i zmartwienia. Mało komu życie płynie tak po rękach. O kłopotach zresztą baliśmy jeszcze mówić. Kontrast jest jednak wyraźny. Tam, gdzie dawniej masowo występowała atmosfera niepewności, lęku przed jutrem dziś spotykamy również masowe poczucie życiowego bezpieczeństwa, spokoju o przyszłość własną i dzieci, wzrastające, bardzo szybko wzrastające, wymagania.

Pamiętam dobrze przedwojenne kroniki ulicznych samobójstw, pamiętam akcję zwalniania z pracy żon, których mężowie mieli zatłumienie, pamiętam chwilemi pokorną a chwilami burzliwą nędzę wsi. Ale w pamięci utkwił mi może najbardziej pewien konkretny obraz: nie wakacje spędzone w domu piypakowo poznanej rodziny rządzący w niewielkim majątku ziemskim. Po dwóch latach, z wizytą w tych samych stronach odwiedziłem się,

że rządca stracił pracę i z całą rodziną przeniósł się do pobliskiego Lublina. Pojechałem go odwiedzić. Do dziś pamiętam kontrast między atmosferą tych wakacji a ponurą izbą przy ulicy Chlewniej, w podwórku, gdzie gnieździł się były rządca, wówczas już tylko bezrobotny inteligent. Wtedy to również dowiedziałem się, że zasilki dla bezrobotnych kończą się pewnego dnia, a potem...?

Byłem bardzo młody i miałem jednak zbyt mało okazji zetknięcia się oko w oko z bytowymi problemami tamtej epoki.

Wydaje mi się więc, że przede wszystkim musimy podkreślić, iż rodzina znalazła w kontakcie z problematyką socjalizmu wyjątkowo szczęśliwą aurę dla swego rozwoju. Podstawowym bowiem warunkiem rozwoju każdej rodziny jest właśnie ta atmosfera spokojnego spojrzenia w przyszłość (bynajmniej nie bez troski materialnej na co dzień — to często właśnie działa rozkładowo).

Mimo tego, wydaje mi się, że rodzina w naszej rzeczywistości przechodzi okres wewnętrznego kryzysu, wynikłego w poważnej mierze z braku osiągnięć w przekształcaniu pojęć i przywycieczek z epoki minioniej, na te, jakich wymaga nasza epoka.

Wydaje mi się również, że trochę za mało uczyniono, by jej w tym dopomóc. Trudności, stąd wynikające, odbijają się nieraz mocno na całokształcie atmosfery społecznej w Polsce.

PRZYPATRZMY się kolejno najważniejszym aspektom problematyki współczesnej rodziny. Klasyfikację możemy wymienić trzy dziedziny: dwoje ludzi, wspólnie tworzących swą przyszłość oraz przyszłość narodu, któremu dają swe potomstwo — to małżeństwo; dziecko — to zagadnienie wychowania przyszłego pełnowartościowego człowieka, ukształtowania jego umysłu, woli, kultury, jego moralności; wreszcie dom, czyli zapewnienie podstawowych warunków bytowych dla całej komórki rodzinnej.

Trwałość małżeństwa jest warunkiem normalnego rozwoju rodziny. Teza ta nie różni się niczym zasadniczym bez względu na to, czy podchodzimy do niej od strony sakralnej, religijnej, czy od strony ściśle świeckiej. Państwo świeckie dopuszcza rozwód, gdyż nie uznaje sakralnej, absolutnej więzi małżeńskiej, lecz państwo — zwłaszcza państwo ludowe, socjalistyczne chce

i dąży do zapewnienia trwałości związku małżeńskiego.

Mimo to obserwujemy już od dłuższego czasu wokół nas ze wzrastającym niepokojem coraz to liczniejsze rozbita małżeństwa.

Skonstatujmy fakt. Ogromna większość małżeństw w Polsce uczy się dopiero trudnej sztuki współżycia w zupełnie różnych warunkach społecznych niż te, na które ich wychowanie i tradycja przygotowały. Coraz powszechniejsza praca kobiety zrewolucjonizowała wzajemne stosunki w małżeństwie. Nierzadko każdy z małżonków żyje innym trybem, posiada inne własne źródło. Na tym tle inaczej niż dawniej przełamują się problemy moralności małżeńskiej. Pojawia się problem rywalizacji autorytetów, w innym świetle staje zagadnienie godności kobiety. Natknąwszy się na nowe, trudne problemy ludzie zniechęcają się, idą szukać gdzie indziej, nieraz również bezskutecznie, łatwiejszego pożytku.

Wydaje się, żeśmy zbyt mało zrobili, by sobie wzajemnie pomóc w poznawaniu tej nowej problematyki. Zbyt często, zwłaszcza u młodych, w reakcji na tani, cukierkowy sentymentalizm przeszłości, obserwujemy tendencje do zerwania z pojęciem miłości, odcarcią małżeństwa z wszelkich uroków uczucia. Czy nie zaniedbalimy roli, jaką winna odegrać literatura, prasa, film w budowaniu nowej kultury życia małżeńskiego? W poszukiwaniu wielkich epickich tematów zapomnieliśmy chyba o tym wszystkim, co jest — zwłaszcza dla młodych — artystycznym, połączającym i przekonującym wzorcem dla ich własnej życiowej postawy.

Myszę tu zarówno o publicyście, literaturze i filmie obyczajowym, jak i o wszelkich lekkich formach komediowych, satyrycznych i lirycznych, przedstawiających w poręcznym i przystępnym dla czytelnika i widowni sposób wzajemny stosunek mężczyzny i kobiety, ich problemy, ich trudności i proponowane rozwiązania.

Film, dla przykładu, odgrywa niezmiernie ważną rolę w kształtowaniu pewnego ideału młodego chłopca, młodej dziewczyny. Dawniej kształcił ich na wampa, łowelasa, kobietę tragiczną czy gentlemana-włamywacza. Ale czym nie należałoby spróbować z tym zerwać i dać im możliwość jak najwięcej i najbardziej połączających wzorów wdzięku, godności, wzajemnego szacunku? Pokazać prawdziwie współczesne dramaty osobiste, ich skutki, sugerować rozwiązania? Nie jestem za tym, by tej problematyce narzucać zbyt mocne akcenty społeczne. Ale przecież to wszystko

nie może się dziać w próżni czy w nie istniejącej atmosferze salonów i buduarów musi mieć więc swe współczesne tło społeczne. Jestem więc najgłębiej przekonany, że problematyka ta nie będzie w żadnej mierze dywersją przeciw społecznemu realizmowi, o który walczą najbardziej bojowa część naszej twórczości kulturalnej.

A gdzie mamy tę współczesną problematykę obyczajową, osobistą w naszej sztuce współczesnej? Jedna, daleka od doskonałości „Irena do domu!” — sprawy nie rozwiązuje!

*

A teraz problem dzieci.

Problem dzieci był ostatnio przedmiotem żywego zainteresowania naszej publiczności. Chodziło właściwie o zagadnienie regulacji urodzin. Niekiedy podszeptali, że rodzi się nam za dużo dzieci, że trzeba ograniczyć przyrost ludności. Inni mówili raczej o potrzebie stworzenia dla małżeństw możliwości rozsądnego „planowania”, zwłaszcza dla młodych. Innych problem ten głównie interesował od strony stosunków poza małżeńskich. Wydaje mi się, że dyskusja jest daleka od końca, lecz nie zamierzam się tym razem do niej włączać. Mimochoodem tylko, nie zaprzeczając społecznej złożoności tego problemu, chcę dorzucić jedną uwagę: moralność seksualna należy do najtrudniejszych, najbardziej wymagających, gdyż styka się z najmocniejszym, najgwałtowniejszym instynktem ludzkim. Socjalizm wymaga moralności wysokich wymogów a nie łatwego życia, w tej dziedzinie — wydaje mi się — tak jak w każdej innej. Na rozdrożeniu w ogóle, na przystanku w rodzinie trzeba zapewne patrzeć odpowiedzialnie i rozsądnie. Uwaga jednak, by pochopne decyzje nie pchnęły młodzieży na drogę seksualnego wyżywiania się z pominięciem wszelkich zasad moralnych! Nie przyszłyby to ani rodzinie, ani całemu socjalistycznemu społeczeństwu.

Tymczasem jednak dzieła się rodzą, otoczone miłością rodziców i troskliwą opieką państwa ludowego, które tak wiele uczyniło, by podnieść zdrowotność młodych pokoleń przyszłych budowniczych.

Porozmawiamy jednak z rodzicami na temat ich dzieci. Przez wszystkie rozmowy przebiega jedna i ta sama troska — troska o właściwe wychowanie dziecka. Ogół rodziców jest bezradny. Większość dzieci jest faktycznie źle wychowana. Mówiąc ściślej: nie jest do-

statecznie wychowywana. Otóż dzieci muszą być wychowywane. Inaczej wyrastają samolubni, pozbawieni poczucia obowiązków, nieuspołecznieni, niedyscyplinowani.

Nie jestem bynajmniej entuzjastą starych, mechaniczno-naïwnych metod wychowawczych. Nie ulega jednak wątpliwości, że podstawowym zadaniem rodziców jest kształtowanie indywidualności dziecka tak, by rosło jednocześnie jako jednostka w pełni uspołeczniona. Uspołecznienie zaś zaczyna się od stosunku do rodziców, do domu, do pierwszych najprostszyc obowiązków. Następnym szczeblem uspołecznienia staje się szkoła. I tu również ściśle współdziałanie rodziców i nauczycieli okazuje się nieodzowne i wbrew całej propagandzie reakcyjnej socjalizm stawia na współdziałanie a nie na rzekome przeciwstawianie i wygrywanie przeciw sobie domu i szkoły.

Otóż jest dziś faktem pewnym, że duża część rodziców nie daje sobie rady z zadaniem systematycznej pracy wychowawczej nad własnymi dziećmi.

Bez wątpienia zadanie jest samo w sobie trudne. Budujemy nowe społeczeństwo, nową kulturę. Sami nie bez trudności przełamujemy własne zastarzałe wypraczenia i przywycieczki. Nie zawsze dobrze wiadomo, czego od własnych dzieci chcemy i to często sprawia, że rosną sobie „dziko”.

Jest jednak faktem, że stoimy również wobec bardzo poważnego problemu technicznego: kto i kiedy ma dziecko wychowywać? W znacznej większości wypadków oboje rodzice pracują. Coraz częściej spotykamy się z najzupełniej zrozumiałym zjawiskiem, że kobieta nie chce już zamknąć się w domu w kręgu spraw kulinarno-pielegnacyjnych. Praca pochłania, gdyż dochodzą do obowiązków zawodowych i zadania społeczne. Rodzice więc nieraz rzeczywiście nie są w stanie wygospodarować dostateczną ilość czasu dla pracy wychowawczej nad własnymi dziećmi. Dobrze, jeśli starcy na liczne materialne obowiązki domowe.

Co robić? Najprostszym rozwiązaniem jest jakiejś ciotki, babci, teściowej, na którą można by ten obowiązek przerzucić. Sprawa nie prosta. Niektóre ciotki i babcie bronią się, że one przecież w tej dziedzinie swoje zadanie wypełniły i że mają ochotę zająć się czym innym. Z drugiej strony owe ciotki i babcie są jeszcze mniej przygotowane od samych rodziców do wychowania naszych dzieci na ludzi naszej epoki. W rezultacie, w najlepszym razie, starymi i wypróbowanymi metodami, kształcą one charakter dzieci i ich pojęcia, ale w jakimś momencie zaczyna się rysować konflikt między ich wpływem a wpływem naszej rzeczywistości. I nie myślę w tej chwili o ewentualnościach starc światopoglądowych na tle spraw religijnych, ale właśnie o tej najszerzej dziedzinie świadomości społecznej, która się przecież wyrabia od dzieciństwa. Najdalszy tu jestem od chęci zarzucania wszystkim osobom starszego pokolenia reakcyjnego wpływu na wnuki. Stwierdzam jednak, że przeskok z jednej epoki na drugą jest tak gwałtowny, iż istnieje pewna trudność dla ludzi, których często jeszcze wychowała trzecia epoka, by same dały sobie radę z problemami wychowania młodego pokolenia Polski Ludowej.

Istnieje więc problem „niedochowywanych” w domu dzieci. Problem ma zasięg szeroki i jest w konsekwencjach swych bardzo poważny. Jakże jest wyjście?

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że podstawowe wychowanie dać mogą rodzice i tylko rodzice. Wszelka pomoc, indywidualna czy społeczna jest niezmiernie cenna, pozostaje jednak tylko pomocą. Szkoła staje się czynnikiem współwychowującym dziecko, ale również nie obejrzę się bez czynnej roli rodziców. Rozbudowywanie, w miarę możliwości materialnych, przedszkoli i świetlic jest dla wychowawców niezmiernie cenne, ale nie wystarczające.

Jest rzeczą niezbędną, by pracująca matka, mająca dzieci w wieku przedszkolnym, miała pełną świadomość, że jej obowiązki rodzinne są czymś nie istotnym, nie ważnym dla społeczeństwa. Bez burzenia dyscypliny pracy i planów gospodarczych oczywiście, trzeba dążyć konsekwentnie do stworzenia jej pełnej możliwości połączenia pracy zawodowej z obowiązkami domowymi.

W wielu wypadkach jednak są to wszystkie pół-środki. Trzeba też sobie jasno powiedzieć, że często matka pracująca nie obejrzę się bez pomocy. Otóż wydaje mi się, że ciąży na nas dziś przesąd, że wychowawczyemu do dzieła jest przede wszystkim mentalność burżuazyjnej. Chciałbym przeciw temu gorąco zaprotestować. Przemyśleń może być tylko stosunek do niej. Stosunek jak do niewolnicy, bądź też jak do osoby, która za odpowiednią sumę zwalnia z obowiązków rodzicielskich.

Wydaje mi się, że państwo ludowe winno najbardziej troszczyć się o wychowanie kadr wykwalifikowanych wychowawczyń, o dokształcanie istniejących, by zerwać ze złą tradycją ciemnej niani czy bony do dziecka. Wydaje mi się, że pracująca rodzina powinna powołać

dojść do tych środków, by móc sobie zapewnić pomoc w wychowywaniu dzieci (podkreślam — pomoc a nie wyręczenie!). Postulat ten pociągnie za sobą szereg dalszych postulatów praktycznych, dotyczących właściwego rozwiązania tego problemu na tle przepisów mieszkaniowych, ubezpieczeniowych, które dotychczas podchodzą do tego zjawiska jak do przedjawy zbrodnego i gorszącego luksusu.

Wiem jednak również, że długo jeszcze rozwiązanie to nie będzie powszechnie dostępne. Dłaczego? Jednak nie szuka się rozwiązań kompromisowych między potrzebami a możliwościami. Rozbudowywać z jednej strony formy pomocy dochodzącej. Z drugiej — pomyśleć o pomocy, jaką zwłaszcza w większych blokach mieszkalnych mogłyby być własne lokale świetlicowe dla dzieci i młodzieży, wyposażone w wykwalifikowane wychowawczynie, choćby utrzymywane zbiorowo przez zainteresowanych rodziców. Byłoby to już częściowym odciążeniem.

Nie wiem, czy proponowane przeze mnie rozwiązanie są najlepsze. Może są i inne. Niepokoi mnie milczenie, panujące wokół zagadnienia w jakimś sposób kluczowego wobec przyjętego przez nas zadania budowania nowego, lepszego społeczeństwa. Gdyby tak rodzice i pedagogowie wypowiedzieli się na ten temat?

*

WRESZCIE nasuwa mi się, na zamknięcie tej części rozważań jedna sprawa, której przyzierność nie powinna jednak peszyć.

Dom, z konieczności rzeczy, to także takie sprawy, jak gotowanie, pranie, sprzątanie. Niektóre gospodynie twierdzą nawet, że to przede wszystkim domena tej uczyłowej, niewdzięcznej pracy. Podkreślałem już fakt oczywisty, że nowoczesna kobieta może sprawom rodzinnym poświęcić mniej czasu niż dawniej. Dotyczy to zresztą także i mężczyzn. Stajemy wobec oczywistego faktu, że obowiązki gospodarcze przeciążają rodzinę, są źródłem zniechęcenia i tarć, lub też są zaniedbywane z oczywistą szkodą zainteresowanych.

Wydaje mi się, że tu poważnie niedoceniamy wpływ, jaki te właśnie, na pozór drobne trudności i niedomagania, mogą mieć na społeczną świadomość bardzo szerokiego kręgu obywateli.

Otóż znów trzeba stwierdzić, że na tym odcinku nie możemy zanotować od lat niemal żadnych poważnych postępów, choć nasze życie idzie naprzód. Na tym odcinku właśnie żyjemy na ogół na poziomie niesłychanego prymitywizmu. Dotyczy to również minimalnej ilościowo pomocy domowej, „ak i środków technicznych do dyspozycji.

Czas przecieć najwyższy, by ktoś zajął się na serio znaną na tym odcinku. Nie mówię tu o problemach przemysłowych, wiążących się z produkcją lodówek, pralek mechanicznych, różnorakich aparatów elektrycznych do gospodarstwa domowego, trzeba stwierdzić, że nie sposób dostrzec tych wszystkich potrzebnych drobnych pomysłów racjonalizatorskich, pozwalających na zaopatrzenie gospodni domu w środki techniczne, ułatwiający prowadzenie gospodarstwa. Dotyczy to również, choć w mniejszej już mierze, pomocy na odcinku kulinarnym.

Ważny jeszcze jedną dziedzinę — na ogół nie istniejące wspólne pralnie domowe, niezorganizowana ich obsługa, niedostateczna ilość punktów usługowych we wszelkich dziedzinach domowego zapotrzebowania.

Nie chciałbym wyjść tu na fantastę czy malkontenta. Na pewno jedenaście lat temu, gdy rozpoczęliśmy pracę nad odbudową kraju, było zbyt wiele innych problemów, ważniejszych jeszcze od tych, które wylizałem, by można było wszystkie na raz rozwiązać. A na tym szczególnie odcinku startujemy od zera, gdyż kultura codziennego życia domowego w Polsce nie istniała nigdy, poza wątkami kręgiem najbardziej uprzywilejowanych. Do dziś dnia, żyjemy w tej dziedzinie najbardziej nierozważnymi i przestarzałymi tradycjami i każdy z nas, nim postawił swe wymagania, musi się zastanawiać nad własną odpowiedzialnością za to, co jest.

Cały sens mojej wypowiedzi jednak sprowadza się do tego, że potrzebny jest dziś wielki wspólny wysiłek, by obronić rodzinę przed kryzysem, który jej grozi, gdyż na najważniejszych odcinkach żyje ona w stanie technicznego i psychicznego zacofania wobec rzeczywistości, która sama swą pracą codziennie tworzy,



Rys. Gabriel Rechowicz

wielkiej przygody

usuwano np. „Kapitana Łamię głowę” Boussenarda (powieść o walce Burów o niepodległość), a pozostawiano „arcydzieła” w rodzaju „Trzech kwadransów na meczyn” Maa’ca (najlepszy gatunek pornografii).

Książki sensacyjne stały się tym cenniejsze; rozchwytywano je i czytano chociażby przez przekorę. Wypożyczalnie straciły wtedy wielu abonentów, i to nie tylko młodych czytelników Zane Greya, młode biblioteczki E. Glyn, ale i siwo-brodnych panów, pozabawionych wieczornej porcji Wallace’a czy Oppenheima.

Myszę, że podnoszenie wartości nie tylko rozrywkowych (te są także cenne), ale i wychowawczych, moralnych tych książek, wartości służących kształtowaniu charakterów młodzieży będzie truizmem. Ale mówić o nich trzeba, bo wiele jeszcze niechęci i lekceważenia otacza ten rodzaj pisarstwa.

Młodzież — chodzi tu głównie o młodzież — szuka w tej literaturze wielu rzeczy. Przede wszystkim: Wielkiej Przygody. W niej zawiera się tęknota za „innocencją”, za aktywnym, czynnym, pełnym mocnych uczuć życiem: zaspokojenie głodu podróży, głodu egzotyki. Młodzież, z natury zdobywcza, pragnie się brnąć za barą z życiem, walcząc i zwyciężać. To wszystko znajduje w młodziejszym lub wiekzym stopniu w literaturze awanturkowej.

W twierdzeniach o skłoniwym

wplywie sensacyjnej literatury wielkiej przygody — o tym wiemy. To już jest poza nami. Ale jeśli ów niedawny lęk przed literaturą sensacyjno-kryminalną — a la Wallace i Oppenheim da się w pewnej mierze wytłumaczyć, o tyle trudno zrozumieć długotrwałe obawy przed klasyczną powieścią awanturkową.

Co znajdujemy u Coopera i Stevenson’a? Umilowanie wolności, opowiadanie się po stronie krzywdzonych, prześladowanych, pogardę dla przemocy.

Wiele może się młody czytelnik nauczyć u Londona i Curwooda. Prawość, szlachetność, odwaga ich bohaterów rodzą chęć brania z nich przykładu. A ileż dają moralnego hartu (stusne było motto przedwojennego „Roju”: „London w domu, hart młodego pokolenia”), także uczą miłości do przyrody, odczuwania jej piękną...

Jeśli są to książki pozbawione jaśniejszej określonej ideologii społecznej, o tyle upajają młodzieży podstawową etykę ludzką, przeciwstawiają braterstwo, przyjaźń, pomoc człowiekowi człowiekowi, miłość życia — tchorzostwu, okrucieństwu i zbrodni. Ich bohaterowie są „ludźmi w walce”. W walce z wszystkim, co złe wokół nich, a czasem i w nich samych. Budzą w młodych czytelnikach zdrową ambicję dorównania szlachetności, odwagi.

Jeśli chodzi o takiego — najmniej chyba wątpliwości budzącego — pisarza jak J. Verne... dlaczego wy-

dajemy tylko w kółko cztery, pięć jego powieści. Przecież jego fantazje naukowe uczy, wprowadzają w atrakcyjny sposób w tajniki wiedzy. Budzą zainteresowanie tymi osiągnięciami w różnych dziedzinach wiedzy, które są już faktem i tymi, które nim się sąją niemal na naszych oczach.

Z Juliuszem Verne można przewędrować cały świat. Podróżując z jego bohaterami wraca się z dalekich żeglug i wędrowek innym; męźniejszym, mądrzejszym i — lepszym.

W książkach wszystkich tych pisarzy znajduje się to, czego nie zdarzyło nam się w życiu doświadczyć, ale co — choćby w innej formie, w innych okolicznościach — może się zdarzyć. A one pomagają nam w dążeniu do tego; wskazują szlachetne cele. Cele, które istnieją zawsze i wszędzie, trzeba je tylko zobaczyć: są obok nas.

PRZYPOMNIAŁY mi się słowa Hucka ze snu. Tak, w literaturze awanturkowej szukamy nie tylko pozornej realizacji naszych marzeń, pragnień, rekompensaty, przeżywania choćby w myśli tego, czego nie możemy przeżyć naprawdę (zresztą tego samego szukamy — my, dorośli — w literaturze „poważnej”), ale przede wszystkim — poprzez ułożenie się z bohaterami — przekroczenia siebie. Jest to pragnienie jak najbardziej twórcze, przekształca się bowiem później w pragnienie (moż-

liwe już do realizacji) przekroczenia siebie w naszym zwykłym, codziennym życiu, w naszej pracy i działalności życiowej.

Ktoś może powiedzieć: ależ to znajdujemy i w literaturze „poważnej”. Słusznie. Ale no pierwszeństwo młodzi wiekiem współobywateli w Kraju Dobrej Lekturey z pewnością nie odnajdą tego w tzw. „lekturze obowiązkowej” (a na Manna czy Dostojewskiego jeszcze dla nich za wcześnie). Po drugie: do nas „dorosłych” przemawia bardziej bezpośrednio chociażby przez swą przyswajalność ta właśnie „leższa” literatura, literatura apelująca do nasze” wioabrazni, pobudzająca naszą fantazję. Fantazję, która jest niczym innym jak Pragmatykiem Wielkiego Przeżywania.

Ale czy tak prostą sprawę potrzebności literatury awanturkowej trzeba aż tak uniezwyklić?

Na jedno się chyba wszyscy zgodzą: potrzebni są nam w naszym życiu — i Wilk Morski, i John Silver, i Ostatni Mohikanin, i Tomek Sawyer, i Kapitana Nemo.

Cieszymy się, że otrzymaliśmy oni prawa obywatelskie w naszej polityce wydawczej, że otrzymali prawo powrotu.

W planach wydawniczych na najbliższe lata spotykamy zapowiedzi powieści kryminalnych i „niesamowitych”: A. Christie, S. Gardniera i A. E. Poe. Mam nadzieję, że jak to zwykle u nas bywa „za nimi pójdą inni”.

Zbigniew Dolecki

WIZYTA U RADHAKRISHNANA

28 listopada

W CZORAJSZY obiad zjedliśmy u Superintendenta protestanckiego — Dobsena, w jego prywatnym mieszkaniu. Jest to wysoki, szczupły, bardzo kulturalny Kanadyjczyk, żywo przypominający swą wytwornością niezapomnianego pastora z „Chwały Cory Królewskiej”. Dobsen rządzi Guszami 6000 protestantów, za pośrednictwem pastorów-Hindusów, z których jeden bierze udział w Konferencji.

Superintendent osiadł w Indiach przed kilkunastu laty i jest jednym z współpracowników poszerzania się protestantyzmu w tym kraju, liczącym obecnie około 5 milionów protestantów. Skromną siedzibę Dobsena nawiedzają licznie jego współpracownicy, którzy wyrażają go lubią. W czasie naszej wizyty przewinęło się kilkanaście osób, nie tylko zainteresowanych obecnością Polaków, lecz również szukających rady swego duchowego kierownika. Z rozmowy wynika, że kościoły protestanckie w coraz większym stopniu szkolą duchowieństwo krajowe. Trudności, z jakimi spotykają się misje protestanckie, nie mają charakteru religijnego, lecz polityczny. Doświadczenie wykazało, że niektórzy duchowni anglosasów mieszały religię z polityką, co w konsekwencji doprowadziło do wysiedlenia szeregu misjonarzy.

Dobsen robi wrażenie człowieka ogarniętego nostalgiami. Po obiedzie wystawiła rzutnikiem bardzo piękne kolorowe fotografie z Kanady. Dopiero wtedy twarz ożywiła mu radosny uśmiech i głosem pełnym tkliwości objaśnia obrazy, przetrzymując dłużej na ekranie fotografie swych dzieci, które wysłał na odpoczynek do Kanady. Wtedy niedyskretny snop światła padający przez szczeliny aparatu, zdradza w jego oczach wizerunek i zamyslenia.

Do Dobsena i do Deck-Bunglow na nocleg eskortowali nas młodzi ochotnicy z organizacji „Help You”. Są to przeważnie Jainiści — studenci, skauci, robotnicy, którzy za cel swego życia uznali konieczność niesienia pomocy bliźniemu. Chłopcy ci wylazła po prostu ze skóry, aby uprzyjemnić nam pobyt. Do późnej nocy rozmawiamy z jednym z nich — Muntha. Opowiada nam o swych projektach zostania inżynierem, chęci wyjazdu do Europy, o nędzy swego kraju i woli walki z nią, która przyniesie młode pokolenie. Przez otwarte drzwi przylatują nam się inni ochotnicy, proponując co chwila herbatę, owoc lub napoje chłodzące. Pomimo naszych protestów — dwóch ochotników pozostaje na noc pod drzwiami pokoju, na wypadek, jeżeli czegoś byśmy potrzebowali. Obaj ze Stanisławem jesteśmy poruszeni do głębi ich troskliwością. Przechucamy walizki, aby im coś ofiarować, wreszcie Stanisław znajduje polskie znaczki pocztowe, którymi obdarza zachwyconych prezentem ochotników.

Wczesnym rankiem ochotnicy przyniosła nam do łóżek herbatę, po czym w otoczeniu honorowej ich eskorty adajemy się na śniadanie, a następnie fotografujemy z chłopcami, którzy przyjechali na rowerach z miasteczka odległego o 20 mil od Ujjain, aby poznać przybyszów z Polski. Fotografie uświetnia obecność bramina z wymalowanymi na czole białymi podłużnymi kreskami, oznaczającymi wiarę w Boga Osobowego. Bramin ten jest przywódcą jakiegoś oddziału hinduizmu, liczącego 2 miliony wyznawców.

Kierowca, pięknie ogolony i wyraźnie wypoczęty po trudach wczorajszej drogi, schyla się w głębokim ukłonie, otwierając drzwi Plymoutha. Jedziemy na Konferencję nieco stromawani, gdyż właśnie dzisiaj Rektor Niemczyk ma wygłosić przemówienie o Polsce. Przyjeżdżamy już w czasie toczących się obrad i zdenerwowani oczekujemy wystąpienia Profesora, który zresztą wcale nie jest speszony niecodziennym audytorium. Wreszcie zapraszają go przed mikrofon. Przewodniczący zakłada Profesorowi wieniec na szyję, obok staje tłumacz na język hindu i rozpoczyna się przemówienie. Powolny angielski wykład rektora Niemczyka nabiera w ustach tłumacza i w jego gęstych, niezwykłej żywości. Zgromadzeni słuchający w skupieniu, ustają nie kończąc się spaceru, wychwytując się ogromne zainteresowanie. Burzliwe oklaski świadczą, że Profesor odniósł prawdziwy sukces. My również bijemy brawo, myśląc że wzruszeniem, że w samym sercu Indii, kilka tysięcy ludzi, którzy nie dotychczas o Polsce nie słyszeli, stało się sądząc z reakcji na przemówienie i z wypowiedzi członków Prezydium Konferencji, przyjaciółmi naszego kraju.

Po przemówieniu Profesora Przewodniczący wzywa nas kolejno przed mikrofon, przedstawia zgromadzonym i wśród entuzjazmu sali wieńczy kwiatami. Pozdrawiamy zgromadzonych hinduskim ukłonem i z ciepłym uczuciem przyjaźni w sercu powracamy na swoje miejsca zatrzymanymi w przejściu przez Bhaskara, który serdecznie ścisła nam ręce.

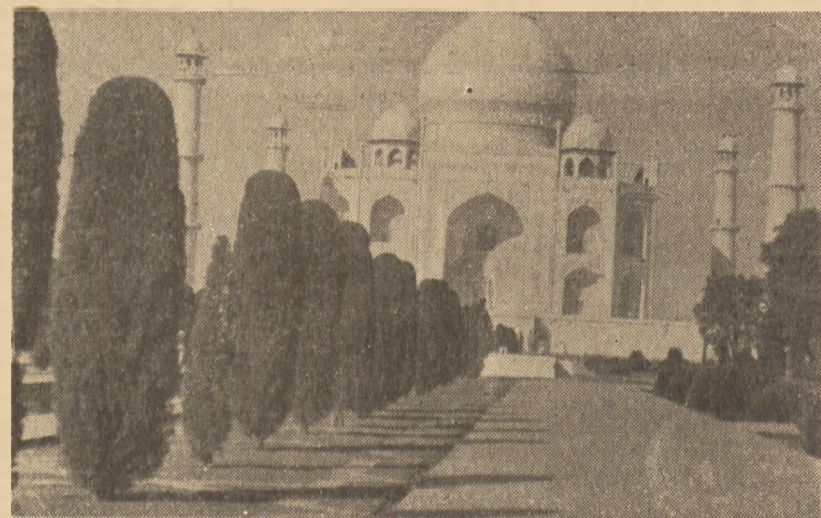
Konferencja kończy przemówienie Bhaskara. Wzywa on świat do zaprzestania waśni i wojen, powro-

tu do Boga i ogłasza konieczność powstania wspólnej dla całej ludzkości religii. Bhaskar mówi płynnie, dostojnie gestykuluje. Sala zamarta w ciszy i chłonie każde jego słowo. Czy brzmiały w jego głosie akcenty wodzowskie świadczą, że znajdujemy się w obecności przyszłego przywódcy mas indyjskich?

Po lunchu czeka nas jeszcze ostatnia oficjalna wizyta w Sekretariacie Konferencji. Ochotnicy prowadzą nas na małą, wąską uliczkę, gdzie w pobawionym okien kanciarze mieszczą się Sekretariat. Oczekują nas tam przydzielone tuzy. Po raz nie wiem który, jesteśmy uwieńczeni kwiatami, częstują nas słodyczkami, owocami, na naszą prośbę podają kawę. Niestety, o ile herbata w Indiach jest znakomita, to nie ma tam zupełnie kultury picia kawy. Toteż my, narkomanami kawowym znanym Wistę, stale odczuwamy jej brak a pijąc, tylko przez uprzejmość nie kręcimy nosami. Gospodarze wygłaszają pozegnalne przemówienia, my mówimy o naszej dla nich przyjaźni, wreszcie w otoczeniu członków Prezydium i ochotników wychodzimy na ulicę.

Święta krowa, zającąca za apetytem kapustę na pobliskim straganie, na widok kwiatów otaczających ją sypie, zaryczała radośnie, po czym lekkim truchtem podbiegła, obwąchując mnie z prawdziwą sympatią. Nieco zaniepokojony, jak jej wytłumaczyć, że mam tylko jedno ubranie, które w czasie objadania kwiatów zmieniłoby prawdopodobnie swój wygląd, mówię jej parę wtrądek, nie nadających się do drukowania, ale syna i królestwo. Aurangzeb, syn Shah Jahana pozbawił go tronu i zamknął w twierdzy, której były władca nie opuścił aż do śmierci. Jedyńa pocięta ostatnich dni jego życia była „subtelność” syna, który kazał go umieścić w celi, mającej okno z widokiem na grobowiec.

Taj Mahal stoi z dala od miasta, na wysokim brzegu rzeki Jamny. Po przejściu ponurego korytarza głównej bramy muru otaczającego teren grobowca zatrzymuje się oślinny. Na tle błękitnego nieba i bujnej zieleności drzew i krzewów, wyrasta sponad szpalarów cyprysów, nierealnej białości, niezwykle szlachetnych proporcji masyw grobowca, otoczony czterema minaretami, przegładający się w lustrze wa-



Agra-Taj Mahal

naszych przyjaciół. Kilku z nich ładuje się z nami do samochodu, reszta siada na rowery i, przyciskając się z trudem przez gęsty tłum handlujących, dojeżdżamy do granicy miasta. Ostatnie pożegnania. Czujemy naprawdę serdeczne wzruszenie, żegnając ludzi, których wczoraj nie znaliśmy, którzy dziś są naszymi przyjaciółmi, a szanse zobaczenia ich kiedykolwiek w życiu są minimalne. Żeby skończyć z mazgajstwem prosimy kierowcę, by dodał gazu i co najmniej godzinę jedziemy nie odrywając się do siebie.

Ujjain leży niemal na zwrótniku Raka, toteż zmrok zapada błyskawicznie. Ukazuje się pełnia księżyca, oświetlająca srebrzystym blaskiem palmowe gaje. Zatrzymujemy samochód i zanurzamy się w ciemności. Dżungla śpiewa, dźwięcznym metalicznym ewkaniem świszczący, w księżycowej poświacie krąży nad wierzchołkami drzew jakis nocny stwór.

29 listopada

Dusznym, dyszącym soplekta dniem jedziemy w kierunku Delhi. Noc spędziliśmy w Shiwapuri, gdyż tym razem kierowca nie wspominał o rozbójnikach i trasę między Guano a Shiwapuri przejechał bez żadnych namów z naszej strony. Wobec tego podejrzewamy go, że w drodze do Ujjain był po prostu zmezczy i wymyślił romantyczne uzasadnienie noclegu w Shiwapuri, na które daliśmy się nabrac.

Kolo Gwalior zbaczamy z trasy i idziemy zwiedzać fort zbudowany w VI w. p. n. Ch. Jest to olbrzymia budowla znakomicie wykształca skalisty teren, na którym została zbudowana. Mur, baszty, barbakany jakoś ograniczenie wystają ze skał i stanowią ich naturalne, wtopione w krajobraz zakończenie. Jedyna droga, biegnąca prawdopodobnie w przeszłości przez most zwodzony, pogłębia wrażenie potęgi twierdzy, która mogłaby być wzięta tylko głodem. Wykorzystując czas wymiany gumy w Plymouthie, wliczymy się po forcie,

podziwiając wiedzę inżynierską jego twórców i chłonąc piękno rozległego pejzażu, rozciągającego się u stóp twierdzy.

Wczesnym popołudniem dojeżdżamy do Agry, by po szybko zjeżdżonym lunchu zwiedzić najpiękniejszą budowlę Azji — Taj Mahal. Grobowiec ten zbudował w XVII w. jeden z mogulskich władców Indii Shah Jahan. Miał on słynącą z dobroci i urody małżonkę Mumtaz-i-Mahal, którą kochał nad życie. Ponieważ ulubienicy bogów umierają młodo, Mumtaz-i-Mahal w pełni rozkwitu swej urody opuściła małżonka. Shah Jahan szalał z rozpaczą, którą wreszcie ukołła myśl o zbudowaniu takiego pomnika swej miłości, jakiego jeszcze świat nie widział. Zgromadził najlepszych architektów, najwspanialszych rzemieślników i robotników i po 22 latach budowy, na którą wydał astronomiczną liczbę 32 milionów ówczesnych rupii, kazał w podziemnej komnacie otoczonej koronkowym marmurowym cokołem, złożyć w alabastrowym sarkofagu zwłoki ukochanej małżonki. Słuchając opowieści o Shah Jahanie, przypominają się nowela Wellsa „Perta miłości” z jej zastanawiającym zakończeniem. Gdy władca, budujący grobowiec dla swej żony przyszedł w otoczenie dworu do stworzonego przez siebie arcydzieła, dostrzegł, że harmoniję proporcji burzy sarkofag małżonki. Zamyślił się głęboko, wreszcie po chwili ciężkiego milczenia wskazał palcem na trumnę i wyrecytował dwa słowa: „Wynieście to!”

Jednak w Taj Mahal spoczywa Mumtaz-i-Mahal, a obok niej Shah Jahan, który stracił nie tylko żonę, ale syna i królestwo. Aurangzeb, syn Shah Jahana pozbawił go tronu i zamknął w twierdzy, której były władca nie opuścił aż do śmierci. Jedyńa pocięta ostatnich dni jego życia była „subtelność” syna, który kazał go umieścić w celi, mającej okno z widokiem na grobowiec.

Taj Mahal stoi z dala od miasta, na wysokim brzegu rzeki Jamny. Po przejściu ponurego korytarza głównej bramy muru otaczającego teren grobowca zatrzymuje się oślinny. Na tle błękitnego nieba i bujnej zieleności drzew i krzewów, wyrasta sponad szpalarów cyprysów, nierealnej białości, niezwykle szlachetnych proporcji masyw grobowca, otoczony czterema minaretami, przegładający się w lustrze wa-

nału, prowadzącego do jego stóp. Wokół grobowca panuje niczym niezakłócona cisza. Nawet turyści użrzeni pięknem, zachowują się poważnie, bez zwykłej bufonady.

W szarości podziemnej komnaty lśnią białe sarkofagi małżonków, ozdobione świeżymi kwiatami. Najlepiej szmer nie mać im odpoczynku. Cicho, na palcach, odwieżdżający opuszczają grobowiec, aby podziwiać błyszczące w słońcu mozaiki i ornamenty wycarowane ze szlachetnych kamieni rękami nie rzemieślników, lecz artystów.

Błyskające czerwienią rubiny przypominają, że jak w każdym wielkim dziele budowlanym tyranów i w tej pracy spłynął krwawym potem grzbiet niewolników dźwigających alabastrowe monolity,

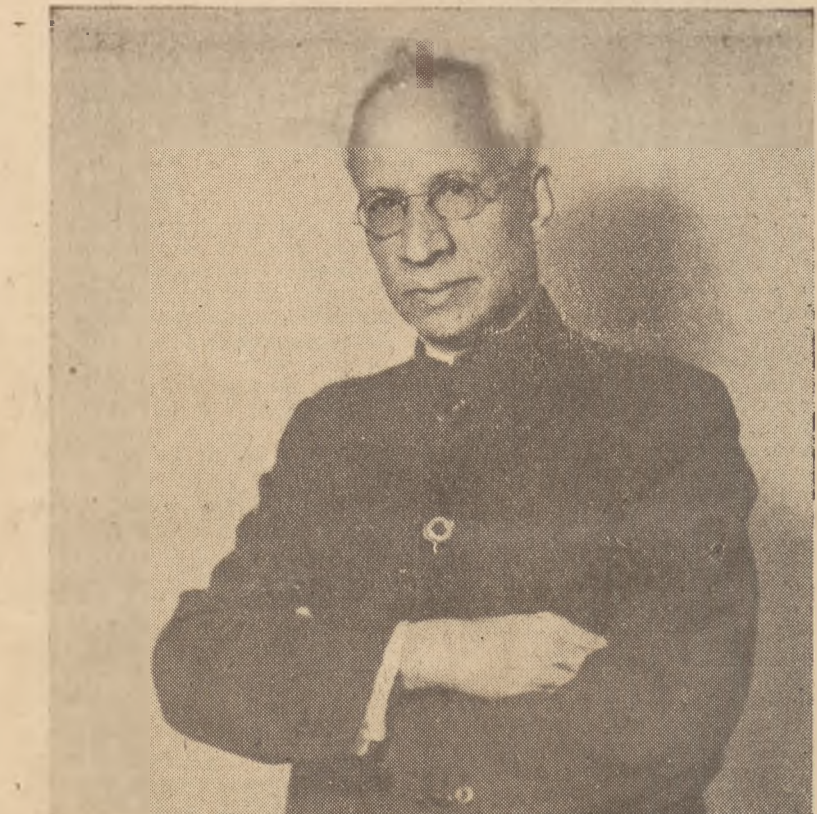
3 grudnia

Dzisiaj mamy nasz wielki dzień, gdyż wiceprezydent Indii — Sarvepalli Radhakrishnan, wyznaczony na dzisiejsze popołudnie spotkanie w swej prywatnej rezydencji.

Radhakrishnan, którego nazwisko jest w Polsce znane jedynie specjalistom od zagadnień Dalekiego Wschodu, jest obok premiera Nehru jedną z najwybitniejszych postaci Indii. Nieco młodsi od Gandhiego, był jego uczniem, przyjacielem i współbojownikiem. Jest on największym współczesnym filozofem indyjskim. Po dogłębnych studiach filozoficznych obejmował kolejno wykłady filozofii w Madras, Mysore, Kalkucie, zaś w roku 1936 został profesorem Wschodnich Religii i Etyki w Oksfordzie. W latach trzydziestych jeździł również z wykładami do Stanów Zjednoczonych. Obok działalności naukowej zajmował różnorodne stanowiska kulturalne i polityczne. Tak więc od roku 1931 do 1939 był członkiem Komitetu Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów, w 1949 został przewodniczącym Komitetu Wykonawczego UNESCO i w tym samym roku ambasadorem Indii w Moskwie. Od 1949 roku jest przewodniczącym Rządowej Komisji Uniwersyteckiej i Kanclerzem wszystkich uniwersytetów indyjskich. Jako wiceprezydent jest z urzędu przewodniczącym Senatu. W 1918 roku ogłosił drukiem pierwszą swoją większą rozprawę omawiającą filozofię Rabinandranatha Tagore. Od tej pory wydał szereg wielkich dzieł, z których najbardziej cenione są: „Miejsce religii w współczesnej filozofii”, „Idealistyczny pogląd na życie”, „Religia i społeczeństwo”, „Religia Wschodu i myśli Zachodu”, „Filozofia indyjska”. Mimo podeszłego wieku Radhakrishnan jest w pełni sił twórczych i w dalszym ciągu intensywnie pracuje naukowo.

Punktualnie o godzinie 5 po południu zajeżdżamy w towarzystwie ambasadora J. Grudzińskiego do rezydencji wiceprezydenta. Strażnicy w białych ubraniach, czerwonych turbanach i pasach, za którymi tkwią szerokie kaszmirskie miecze, otwierają drzwi samochodu, gnąc się w głębokim ukłonie. Na schodach ukazuje się ze złożonymi rękami sekretarz prezydenta, z którym wymieniamy poważne pozdrowienia.

W przestronnym, skromnym, po europejsku urządzonej gabinecie, wita nas dostojny, spowity w białe prześcieradła starzec. Mądre oczy skryte za szklami okularów wpa-



Wiceprezydent Indii — S. Radhakrishnan

trują się w nas ze skupieniem. Na kominku płonie żywy ogień, roznużający po gabinecie aromat jakiegob pachnącego drzewa. Zasiadamy wokół prezydenta na niskich fotelach, służba wnosi herbatę i orzeszki. Zgodnie z wymaganiami protokołu milczymy, czekając na rozpoczęcie rozmowy przez Gospodarza. Po długiej, uciążliwej chwili, Radhakrishnan rozpoczyna rozmowę od pytania o Konferencję w Ujjain. Nie czekając na odpowiedź stwierdza, że Ujjain było w przeszłości centrum kulturalnym Indii i odgrywało taką rolę, jak Ateny w Grecji. Największy poeta starożytnych Indii — Kalidas tam właśnie żył i tworzył. Przechodząc do celów Konferencji w Ujjain wiceprezydent przypomina, że dążenie do scalenia religii należy do dobrzych tradycji indyjskich, czego dowodem jest działalność króla Asioki, żyjącego o III w. przed nar. Chr.

Radhakrishnan stopniowo zapala się do rozmowy, która zaczyna przeskalać się w monolog: „...Indie od stuleci są krajem pełnej wolności religijnej i każda religia miała tu możność swobodnego rozwoju. Poznaję problematykę Indii nie wolno zapomnieć, że religia odgrywa decydującą rolę w życiu tego kraju.

Trzecią wszystkich religii indyjskich jest oddawanie czci Najwyższej Istocie, pojętej jako Bóg Bezosobowy, lub Osobowy. Koncepcja Boga Osobowego jest zespoleniem najwyższej prawdy logicznej z najgłębszym przeświadczeniem religijnym. Tylko pełne poznanie rzeczywistości może uzasadnić filozoficznie tezę, że Bóg jest i że jest On stwórcą wszystkiego. Bóg Osobowy jest przedmiotem samorodnej wiary i czci. Nie jest On nieetycznym bóstwem, obojętnym na ludzkie potrzeby i uczynki. Jest On Stworzycielem, Władcą i Sędzią całego świata, posiadającym przymioty: władzy i sprawiedliwości, dobroci i miłosierdzia, wszechobecności, wszechmocy i wszechwiedzy. Nie ma On początku ani końca”.

Oczy Radhakrishnana jeszcze bardziej pogłębiają swój wyraz skupienia i zamyslenia, a jednocześnie bliższą wewnętrznym żarem przenikającym słowa Prezydenta. „Religia spełni swoją rolę wtedy — ciągnie dalej Prezydent — gdy

będzie nie tylko oddawaniem czci Bogu, lecz będzie przeskalać życie człowieka, umożliwiając zwycięstwo rozwiązywanie zagadnień społecznych z pozycji miłości Boga i bliźniego. Tylko ta religia — powtarza Radhakrishnan — jest wartościowa, która wpływa na polepszenie się stosunków ogólnoludzkich i przeskala osobowość człowieka. Nie miał racji Platon twierdząc, że nasz świat jest odbiciem świata ideału. Żyjemy w konkretnej rzeczywistości, która nie tylko powinna, ale musi być kształtowana w sposób umożliwiający zbliżenie do prawdziwej, sprawiedliwej koncepcji życia ludzkości”.

Ogień na kominku przygasa, a wraz z nim jakby gaśnie również zapał Radhakrishnana, który powraca do postawy dyplomaty. Wyraża zadowolenie z naszych odwiedzin i podkreśla wagę międzynarodowych kontaktów osobistych. Stanisław wręcza mu książkę o odbudowie kościołów w Polsce. Prezydent odzwajemnia się ofiarowaniem niemieckiego tłumaczenia „Religii i społeczeństwa”, na której wypisuje dedykację. Kopię pod stołem Stanisława w kostkę, gdyż zapomniał wziąć swojego egzemplarza „Filozofii Indii” i nie mogę prosić Radhakrishnana o autograf. Pytam natomiast Prezydenta, czy zgodził się na tłumaczenie przez „Pax” niektórych jego dzieł. Otrzymuję uprzejmą odpowiedź, że cała jego twórczość jest do naszej dyspozycji, zaś na jego nieśmiały wzmiankę o trudnościach związanych z zawarciem umowy autorskiej odpowiada z uśmiechem, że pieniądze go w ogóle nie interesują. W miłym nastroju gwarzymy o rzeczach błahych. Radhakrishnan steruje ku zakończeniu audyencji. Mówi o swych projektach przyjazdu do Europy, możliwego odwiedzenia Polski, która — jak wynika z rozmowy — zną lepiej niż my Indie, o tym, że uważa się za naszego przyjaciela. Atmosferę przyjaźni pogłębia szczerzy uśmiech Prezydenta. Ośmielony tym prośbę o fotografię dla czytelników „Dziś i Jutro”. Sekretarz przynosi gabinetowego formatu portret naszego Gospodarza. Radhakrishnan składa zamaszyście podpis, po czym odprowadza nas do hallu i znika bezszelstnie, złożywszy przedtem ręce w hinduskim pozegnaniu.

(Dokończenie ze str. 3)

stawieniu pewnych twierdzeń, jako mniej lub bardziej szczegółowych dyrektyw metodologicznych. Prof. Hochfeld w swoim artykule sprzed ośmiu lat wprost mówi: „Marksizm to po prostu nauka” (Dr J. Hochfeld: „O znaczeniu marksizmu” — „Myśl Współczesna” nr 4/1948). Zabierający głos w obecnej dyskusji W. Bienkowski idzie jeszcze dalej i pisze: „Nie ma i być nie może (ex definitione) takiej prawdy, która byłaby niezgodna z marksizmem... Marksizm nie przystosowuje do siebie prawdy, lecz na odwrót — sam przystosowuje się do prawdy” (W. Bienkowski: „W poszukiwaniu prawdy” — PK nr 41/55).

Utożsamienie marksizmu z nauką w ogóle mogłoby się dokonać tylko za cenę takiego sformalizowania systemu że zawierałby on wyłącznie jak najbardziej ogólne stwierdzenia, takie jak to, że istnieje rzeczywistość obiektywna, że rzeczywistość ta jest poznawalna itp. Cóż można na to powiedzieć?

Zadnego systemu teoretycznego, żadnej teorii nie można utożsamiać z nauką w ogóle, gdyż każda z nich może być tylko częścią nauki, każda z nich jest tylko etapem na drodze poznania naukowego. I każda z nich poza swoimi teoriopoznawczymi i metodologicznymi podstawami, które muszą być zgodne z takimi podstawami całej nauki, jeśli system ma być naukowym — zawiera również szereg twierdzeń szczegółowych, merytorycznych o badanym odcinku rzeczywistości, które nie mają waloru ogólnie metodologiczne podstawy nauki. Twierdzenia te muszą konkretnością tego, co orzekają o faktach, okupić swoją historycznością,

która powoduje, że ważność ich jest ograniczona w czasie do danego etapu rozwoju nauki.

INNE ARGUMENTY

DRUGI argument jest związany z analogią, jaką usiłuje się przeprowadzić między teoriami marksistowskimi a naukami ścisłymi. W interpretacji prof. Schaffa argument ten przybiera taką postać: „... w określonych warunkach wolno z niezgodności danej teorii z marksizmem wnioskować o jej fałszywości. Wypadek ten zachodzi wówczas, gdy odniesienie do marksizmu może być uważane za skrócone odniesienie do rzeczywistości, której odbicie daje nam teoria marksistowska. Podobnie postępujemy np. w matematyce, gdy sprzeczność z tezą poprzednio udowodnioną jest uznana za fałsz bez potrzeby powołania dowodu do końca”. Natomiast L. Kołakowski postępując się podobną metodą pisze: „Dla wszystkich obiektów wysuwanych wobec teorii dwóch nurtów znajdzie się z łatwością analogia w wątpliwościach, jakie można podnieść przeciwko teorii grawitacji. „Teoria dwóch nurtów” opisuje pewną prawidłowość rozwoju ideologii i stwierdzenie, że prawidłowość ta „działa” tak samo, nie znaczy, że każde zjawisko kulturalne daje się zakwalifikować jednoznacznie do któregoś z prądów wyróżnionych badanej epoki, jak stwierdzenie, że „działa” prawo grawitacji, nie oznacza, że wszystkie ciała spadają z dokładnością tym samym przyspieszeniem”. (L. Kołakowski „Wizjonerstwo i dogmatyki” PK nr 43/55).

Otóż w odpowiedzi na powyższe wywody należy stwierdzić, że analogia — jakkolwiek nieraz bardzo

Dogmatyzm

przydatna dla zilustrowania twierdzeń — nigdy nie jest wyczerpującym dowodem, a w pewnych przypadkach, gdy się chce ją rozumieć zbyt dosłownie, prowadzi do nieporozumień. Prof. Schaff powołuje się na przykład matematyki, a więc nauki dedukcyjnej. Jak wiemy, w każdym systemie dedukcyjnym wszystkie twierdzenia tego systemu opierają się na przyjętych a' sjomatach. Opierają się, to znaczy: wynikają z nich według zasad logiki. Teza udowodniona w tym systemie to teza wynikająca bezpośrednio lub pośrednio z aksjomatów. Sprzeczność jakiegob twierdzenia z tezą udowodnioną kwalifikuje je do odrzucenia. Inaczej jest jednak w teorii np. rozwoju społecznego, jaką jest materializm historyczny. Teoria ta nie jest systemem dedukcyjnym. Teza o dwóch nurtach w kulturze, choć wynika z założeń tej teorii, nie jest jeszcze tym samym udowodniona. A więc twierdzenie sprzeczne z tą tezą nie kwalifikuje się jeszcze tym samym do odrzucenia nie tylko dla tych, którzy „negują” prawdziwość tezy marksistowskich”, ale również — co jest ważniejsze — dla tych, którzy prawdziwość tych tez uznają. Wbrew temu, co prof. Schaff pisze, również i ci, którzy uznają prawdziwość tezy marksistowskich, w żadnym konkretnym badaniu nie mogą poprzestać na wykazaniu sprzeczności z tezą już przyjętą, lecz muszą „doprowadzić dowód do końca”. To znaczy: muszą sięgnąć do faktów. Właśnie dlatego, że mamy tu do czynienia nie z systemem dedukcyjnym, lecz z nauką empiryczną.

Innego rodzaju nieporozumienie jest podstawa analogii u L. Koła-

kowskiego. Prawa nauki rzeczywistości są idealizacjami. Operują warunkami „ceteris paribus” nigdy nie spełnionymi w rzeczywistości. Niemniej jednak stopień tej idealizacji jest bardzo różny w różnych naukach. Zależy od przedmiotu nauki. Już Comte zauważył, że nauki można uszeregować według stopnia skomplikowania zjawisk, które badają. W tym szeregu fizyka zajmuje jedno z pierwszych miejsc, socjologia zaś ostatnie, gdyż zjawiska, które bada, są najbardziej skomplikowane. Wobec tego, jeżeli w socjologii zechce się sformułować prawa tak ogólne, a przy tym tak schematyczne, jak np. prawo fizyki o powszechnej grawitacji — stopień idealizacji, jaki tak sformułowane prawo zakłada — musi być bez porównania większy niż w zjawiskach natury. W teorii kultury jest on tak wielki, że należy zapytać, czy sformułowane w ten sposób prawo ma na gruncie zjawisk kultury dostateczną wartość poznawczą.

Na marginesie warto dodać, że gdyby fizycy byli równie mocno przywiązani do prawa grawitacji — nigdy by nie mogli powstać teorie względności, która jest przecież przewyżczeniem ograniczonej praw Newtona i wyjaśnia większy zakres zjawisk. Dobrze, że L. Kołakowski powołał się na ten przykład: jest on klasyczny dla zobrażenia, jak rozwija się nauka. Jest to klasyczny przykład przeciw dogmatyzmowi.

Trzeci argument można określić jako tezę o instytucjonalizacji praw naukowych Prof. Schaff pisze: „Może być tak, że jedna strona ma rację, a druga broni pozycji fałszywej, gdy zostanie to udowodnione przez zastosowanie właści-

skruszonego uciekiniera. Sprowadza to zresztą na głowę młodego kierownika istną burzę ze strony kolegów, Związku Zawodowego, Rady Rządzącej, Wychowawca klasy, do której przydzielają Bogdana, „działa” na własną rękę. Nie wyznacza chłopcu miejsca i Bogus stoi na lekcjach. Padają groźby, wyzwiska, niewybredne dowcipy. Chłopiec znów znika ze szkoły.

Od września przyjmuje go w swoje mury jedna z najlepszych szkół wrocławskich, ta przy ulicy Świątackiego. Prof. Jodkowska osobliwie dopomaga Bogusowi w nadrobieniu zaległości. Uczniowie wyższych klas (Uwaga! Uwaga!) samorzutnie interesują się tym, jak się uczy, co czyta ich „trudny” kolega, wciągają go do koła sportowego. Dochodzi nawet do starcia uczniów z tymi z „gruzów”.

KURATOR Barbara Geniusz napisała w sw. m. pamiętniku: „Trzeba rozdzielić prawo i obowiązek wychowania dzieci między szkołę i dom”.

A w domu była przecież dużo do zrobienia.

Trzeba było sprowadzić ojca, który opuścił rodzinę. Kuratorce udało się to po długich z nim dyskusjach, prowadzonych przy współudziale działaczy związkowych, partyjnych i towarzyszy pracy. Do domu wrócił człowiek przekonany o złych metodach wychowawczych, które stosował wobec dziecka. „Wydawało mi się — notuje w swoim brulionie pani Geniusz — że będę mogła spokojnie oddać tego chłopca pod opiekę rodziców i wychowawców”.

I wtedy złośliwy traf burzy rezultaty dotychczasowej pracy kuratora. Przed szkołą numer 54, tą samą, z której usunęto niegdyś Bogusia, dziewczynka w czasie zabawy udziela i towarzyszy pracy. Do domu wrócił człowiek przekonany o złych metodach wychowawczych, które stosował wobec dziecka. „Wydawało mi się — notuje w swoim brulionie pani Geniusz — że będę mogła spokojnie oddać tego chłopca pod opiekę rodziców i wychowawców”.

I wtedy złośliwy traf burzy rezultaty dotychczasowej pracy kuratora. Przed szkołą numer 54, tą samą, z której usunęto niegdyś Bogusia, dziewczynka w czasie zabawy udziela i towarzyszy pracy. Do domu wrócił człowiek przekonany o złych metodach wychowawczych, które stosował wobec dziecka. „Wydawało mi się — notuje w swoim brulionie pani Geniusz — że będę mogła spokojnie oddać tego chłopca pod opiekę rodziców i wychowawców”.

Przez dwa dni rodzice i kurator prowadzą poszukiwania. Bogus był oczywiście bez winy. Milicja szybko ustaliła osobę winowajcy. Był nim jeden z uczniów szkoły 54.

Niestety chłopiec zdażył zaciągnąć nowy dług wdzięczności wobec sąjki.

Następują wspólne wyprawy. Do kasy spółdzielni, kradzież 800 złotych z kiosku, nocny wypad pod wódkę, zakończony schwytem młodziaków włamywaczy.

Teraz trzeba będzie odbyć kare... Korytarz sądowy przecinają nieśmiało smugi światła, w których tańczy, kołuje, pływa jak w rozciągniętym mleku — kurz. Stoją w tym świetle gromady chłopców w szarych, wieziennych mundurkach czekających na rozprawę.

Dziewcząt też nie brakuje, ale one unikają słońca. Chronią się w mrok korytarza przed ciekawością i natręctwem ludzkich spojrzeń.

Jakob bardzo niegroźnie, nie „po wieziennemu” wyglądający eskortant dotyka ramienia chłopca w wieziennym ubranku i mówi nieomal serdecznie: „Już czas na nas, Bogusiu. Chodźmy”. Wtedy przypomina mi się czekająca przed sądem karetka i szare twarzątki przyklepione do małych szybek.

— Chodźmy — przynaęła strażnik. — Już tam czeka... Kiedy prowadzeni przez strażników znikają na zakręcie korytarza, mówi do mnie z gorącością: — Pan zna sprawę Bogdana Kr. Będzie siedział. Sędziów niczym już nie przekonam. Za dużo w jego kartotece nazbierało się zła.

— Kapituluja? — zapytałem domyślając się z góry przeczącej odpowiedzi.

— O, nie. Kurator nie zrywa przyjaźni z podopiecznym w mo-

mentle Jego Kłeski. To dopiero początek wysiłków, by go społeczeństwu zwrócić! Przecież Bogdan może za rok, może wcześniej wrócić. A co wtedy z nim będzie, jeśli kurator na ten powrót nie będzie czekał?

O POWIEDZIAŁEM historię jednego „trudnego” chłopca.

Myszę, że warto spowodować dyskusję publiczną nad sprawą rozwiązania problemu szkół dla „trud-

(Co oczywiście wymaga pierwszeństwa pilnej korekty. Cz. O.) Jest tu natomiast „Małpi Gaj”, „Pergola”, „Wzgórze Braci Równych” — powiedział mi prezes Sądu dla m. Wrocławia, mgr Ulman.

Potem dał mi trochę szczegółów o tym „Gaju”, „Wzgórzu”, „Pergoli”.

WOKÓŁ „Gaju” jest ciemno. Laskarnie stoją ślepe. Nie wolno im świecić. Ale nie wszystkim. Je-

częła na niewybredne zabawy i swoiste dyskusje.

Chłopcom świecą się oczy od niezdrównej emocji, kiedy któryś z wiary opowiada o swoich mocno przesadzonych wyczynach. „Gdyby tak mieć rewolwer, masie na oczach...” — emocjonuje się młody słuchacz.

— Po cholere ci maska? — słucha przez ramię jakiś „Groźny”, „Mocarz” czy „Wytrych”. — Bez maski też można odwalić dobrą robotę...

— A jeżeli złapią — odezwie się czasem trwożny głos.

— No to co, śledzi! W milicji nie bija, w „poprawczym” też swoje chłopaki i dobrze dają jeść. W mamrze naucza fachu...

Wiadomo, jakiego fachu nauczył się tam ów „Ważny”. „Robi na łom”, co znaczy — podważa łodem drzwi piwnic i strychów.

Potem już normalne szkolenie. Młodzi debiutanci dowiadują się o tym, że w Milicji (nie bija) trzeba kiwać, jak długo się da. Ze u sędziego trzeba „trzymać wodę w mordzie”. Potem adwokat naucza, co trzeba mówić na rozprawie. Są informacje i o tym, gdzie można sprzedać łup, gdzie „rozplynąć się we mgle” na czas ewentualnego pościgu i gdzie mieszkają „dziewczyny”, niedające kompani band.

Tego wszystkiego uczą dzieci Drugiej Dzielnicy i „Pergola” i „Wzgórze” i „Gaj”.

ROZMAWIAŁEM potem w gabinecie Prezesa z ob. Józefem, byłym członkiem bandy „Krwawych Bizonów”.

Przyszedł zameldować swemu opiekunowi o pozytywnym skutku jego interwencji w miejscu pracy.

Warto poznać sposób zawarcia przyjaźni między sędzią a karaniem przez Sąd młodym człowiekiem.

Kiedys mroziło się pesentów, tych opuszczających więzienia. Mgr Ulman wpadł na prosty zdawałoby się pomysł. Któregoś dnia radio nadało coś w rodzaju ogłoszenia podobnego do tych, jakie widuje się w gazetach: „Przedsiębiorstwo XX poszukuje fachowców...”

Tylko że speaker tym razem nawoływał do zgłaszania się przedsiębiorstw, które by zechciały przyjąć do pracy młodych ludzi, którzy mieli już konflikt z prawem. Jaśniej: młodzież z więzień i z Domów Poprawczych.

Apel usłyszano. Do prezesa zgłosił się m. in. kierownik warsztatów z ulicy Stalina 5: „Dajcie mi najtrudniejszego”. Wyszedł razem z Józefem.

Potem były kłopoty, niezawinione zresztą przez byłego „Bizoniarza”, a dziś cenionego ślusarza w warsztatach PKP.

Słuchałem również rozmowy któregoś ze „Wzgórze” z Prezesem. Była to przeprawa dość dramatyczna:

— Przyszedłem, żeby mnie pan prezes... zamknął, bo nie powiedziałem o sobie wszystko, kiedyś tu był, na „spowiedzi”.

Nastąpiła opowieść o nożu. O porachunkach dwóch band. Na szczęście zakończonych bez większych skutków i na szczęście przedawnionych. Skończyło się na pouczeniu i groźbie w razie recydywy.

Potem weszła do gabinetu czekająca na rezultat rozmowy narzeczona. Dziewczyna — ślusarz. Wychodząc uśmiechnęła się do gospodarza tego pokoju jakoś bardzo ciepło. Pewnie ten uśmiech był nagrodą za pomoc okazaną jej chłopcu.

Było i inaczej, kiedy siadł przed nami ten z „Pergoli”.

Nic, a nic tremy. Papieros tkwił w ustach. Fryzura znów w grzywkę „à la matol”. Usta wykrzywiały uśmiech.

— Przyszedłem, bo chcę panu powiedzieć, że wszystko coście mówili, to „lipa”.

Na stół padła gazeta z artykułem na temat praw młodzieży do szkół.

Stara. Musiał ją gdzieś z archiwum wyzerzać.

— Napisane jedno, jest drugie — mówi z pasją, ale przez łyż.

Prezes telefonuje. Huczy w słuchawce zjadliwa odpowiedź, ale milknie, gdy mgr Ulman podaje funkcję, która pełni: Prezesa Sądu. Wtedy w słuchawce słychać słowa oskarżeń o... przeszłość tego chłopca.

— Jutro pójdziesz do klasy. Ale uczesz się jak człowiek. Wyrzuc z gęby papierosa i nie pij — mówi sucho ten nieoficjalny kurator, jakim w rzeczywistości jest przecież ten sędzia-społecznik.

— Będę się uczył? Naprawdę? Przecież oświadczyli mi w szkole, że ja już nigdy...

I znów przed nami jest uczeń. Uśmiechnięty, miły chłopiec. I nie strasza jest przylgana drżącymi palcami gryzka.

A potem był taki, co to tylko zegarmistrzostwo! Oni go chcą na frezera, a pan prezes powiedział: „Jak przestaniesz chodzić z bandą, pójdziesz na zegarmistrzostwo”.

Więc dzwoniłymi do spółdzielni, gdzie okazał się być kierownikiem po obywatelsku myślący majster.

Potem weszła taka, co to nie może żyć bez książek i znowu były starania o to, by jej nie zwalniano z Domu Książki, gdzie ma na szczęście doskonałą opinię.

A potem coś z pięciu takich, którzy muszą jeszcze zameldować się tutaj za tydzień, za trzy dni, albo pójść do kuratorki.

Rozumiem, skąd w kancelarii Prezesa ten wieloreki urząd społeczny: stanu cywilnego, zatrudnienia, mieszkaniowy i porad prawnych.

— ...na zlikwidowanie przestępczości wśród nieletnich bez pomocy samej młodzieży zarówno zrobiej jak i tej, jak to pan nazwała w swoich reportażach „z nocy” — nie ma co liczyć. Naszych „ambasadorów” akredytowanych do band, chłopców wyrwanych częściowo z przestępczych środowisk, zyskujemy nie słowniarstwem, a konkretnie udzielaną pomocą.

Mam już takich chłopców i w „Małpi Gaju”, i w różnych „spółdzielniach” handlu biletami, w grupach zorganizowanej chuliganerii, w bandach złodziejskich i klubach oczka kółka pokera.

Proszę mi wierzyć, że nie jest łatwo zdezawutować taki autorytet, jak na przykład „Mocny” — bokser, nożownik, kochanek wielu dziewcząt, bywalec „Polonii”. Wiźni pan, on daje chłopcom realne odcienie nocnej wyprawy i realny zysk — pieniądze. Jeśli chcemy odebrać mu młodzież, trzeba jej dać więcej niż on.

Przed wszystkim szkole, możliwość uczenia się wybranego zawodu, miejsce pod dachem i konieczność dobrej sztuki, dobre przedstawienie w kinie, emocje sportowe, możliwość organizowania atrakcyjnych wycieczek. Inaczej — przegrany” — powiedział mi na pożegnanie mgr Ulman.

Korciła mnie chęć dowiedzenia się, jak często spotyka tego Prezesa-społecznika, zadowolę się stronnego podopiecznych. Jest to być może bądź, młodzież trudna do reedukacji.

— Czy często? Właściwie nie często. Młodzież nasza jest sprawiedliwa i realnie ocenia otrzymywaną pomoc. Placi za serce — sercem. Jeśli więc po kilku próbach przyjęcia młodym z pomocą otrzymujemy w zamian tylko zło, nie wahaemy się stosować najgorstszego sposobu, jakim jest krata więzień.

Na szczęście te ostatnie drastyczne sposoby, coraz częściej udaje się nam wykreślić z repertuaru środków stojących do dyspozycji Sądu.

— Jutro pójdziesz do klasy. Ale uczesz się jak człowiek. Wyrzuc z gęby papierosa i nie pij — mówi sucho ten nieoficjalny kurator, jakim w rzeczywistości jest przecież ten sędzia-społecznik.

— Będę się uczył? Naprawdę? Przecież oświadczyli mi w szkole, że ja już nigdy...

I znów przed nami jest uczeń. Uśmiechnięty, miły chłopiec. I nie strasza jest przylgana drżącymi palcami gryzka.

A potem był taki, co to tylko zegarmistrzostwo! Oni go chcą na frezera, a pan prezes powiedział: „Jak przestaniesz chodzić z bandą, pójdziesz na zegarmistrzostwo”.

Więc dzwoniłymi do spółdzielni, gdzie okazał się być kierownikiem po obywatelsku myślący majster.

Potem weszła taka, co to nie może żyć bez książek i znowu były starania o to, by jej nie zwalniano z Domu Książki, gdzie ma na szczęście doskonałą opinię.

A potem coś z pięciu takich, którzy muszą jeszcze zameldować się tutaj za tydzień, za trzy dni, albo pójść do kuratorki.

Rozumiem, skąd w kancelarii Prezesa ten wieloreki urząd społeczny: stanu cywilnego, zatrudnienia, mieszkaniowy i porad prawnych.

— ...na zlikwidowanie przestępczości wśród nieletnich bez pomocy samej młodzieży zarówno zrobiej jak i tej, jak to pan nazwała w swoich reportażach „z nocy” — nie ma co liczyć. Naszych „ambasadorów” akredytowanych do band, chłopców wyrwanych częściowo z przestępczych środowisk, zyskujemy nie słowniarstwem, a konkretnie udzielaną pomocą.

Mam już takich chłopców i w „Małpi Gaju”, i w różnych „spółdzielniach” handlu biletami, w grupach zorganizowanej chuliganerii, w bandach złodziejskich i klubach oczka kółka pokera.

Proszę mi wierzyć, że nie jest łatwo zdezawutować taki autorytet, jak na przykład „Mocny” — bokser, nożownik, kochanek wielu dziewcząt, bywalec „Polonii”. Wiźni pan, on daje chłopcom realne odcienie nocnej wyprawy i realny zysk — pieniądze. Jeśli chcemy odebrać mu młodzież, trzeba jej dać więcej niż on.

Przed wszystkim szkole, możliwość uczenia się wybranego zawodu, miejsce pod dachem i konieczność dobrej sztuki, dobre przedstawienie w kinie, emocje sportowe, możliwość organizowania atrakcyjnych wycieczek. Inaczej — przegrany” — powiedział mi na pożegnanie mgr Ulman.

Korciła mnie chęć dowiedzenia się, jak często spotyka tego Prezesa-społecznika, zadowolę się stronnego podopiecznych. Jest to być może bądź, młodzież trudna do reedukacji.

— Czy często? Właściwie nie często. Młodzież nasza jest sprawiedliwa i realnie ocenia otrzymywaną pomoc. Placi za serce — sercem. Jeśli więc po kilku próbach przyjęcia młodym z pomocą otrzymujemy w zamian tylko zło, nie wahaemy się stosować najgorstszego sposobu, jakim jest krata więzień.

Na szczęście te ostatnie drastyczne sposoby, coraz częściej udaje się nam wykreślić z repertuaru środków stojących do dyspozycji Sądu.

— Jutro pójdziesz do klasy. Ale uczesz się jak człowiek. Wyrzuc z gęby papierosa i nie pij — mówi sucho ten nieoficjalny kurator, jakim w rzeczywistości jest przecież ten sędzia-społecznik.

— Będę się uczył? Naprawdę? Przecież oświadczyli mi w szkole, że ja już nigdy...

I znów przed nami jest uczeń. Uśmiechnięty, miły chłopiec. I nie strasza jest przylgana drżącymi palcami gryzka.

A potem był taki, co to tylko zegarmistrzostwo! Oni go chcą na frezera, a pan prezes powiedział: „Jak przestaniesz chodzić z bandą, pójdziesz na zegarmistrzostwo”.

Więc dzwoniłymi do spółdzielni, gdzie okazał się być kierownikiem po obywatelsku myślący majster.

Potem weszła taka, co to nie może żyć bez książek i znowu były starania o to, by jej nie zwalniano z Domu Książki, gdzie ma na szczęście doskonałą opinię.

A potem coś z pięciu takich, którzy muszą jeszcze zameldować się tutaj za tydzień, za trzy dni, albo pójść do kuratorki.

Rozumiem, skąd w kancelarii Prezesa ten wieloreki urząd społeczny: stanu cywilnego, zatrudnienia, mieszkaniowy i porad prawnych.

— ...na zlikwidowanie przestępczości wśród nieletnich bez pomocy samej młodzieży zarówno zrobiej jak i tej, jak to pan nazwała w swoich reportażach „z nocy” — nie ma co liczyć. Naszych „ambasadorów” akredytowanych do band, chłopców wyrwanych częściowo z przestępczych środowisk, zyskujemy nie słowniarstwem, a konkretnie udzielaną pomocą.

Mam już takich chłopców i w „Małpi Gaju”, i w różnych „spółdzielniach” handlu biletami, w grupach zorganizowanej chuliganerii, w bandach złodziejskich i klubach oczka kółka pokera.

Proszę mi wierzyć, że nie jest łatwo zdezawutować taki autorytet, jak na przykład „Mocny” — bokser, nożownik, kochanek wielu dziewcząt, bywalec „Polonii”. Wiźni pan, on daje chłopcom realne odcienie nocnej wyprawy i realny zysk — pieniądze. Jeśli chcemy odebrać mu młodzież, trzeba jej dać więcej niż on.

Przed wszystkim szkole, możliwość uczenia się wybranego zawodu, miejsce pod dachem i konieczność dobrej sztuki, dobre przedstawienie w kinie, emocje sportowe, możliwość organizowania atrakcyjnych wycieczek. Inaczej — przegrany” — powiedział mi na pożegnanie mgr Ulman.

Korciła mnie chęć dowiedzenia się, jak często spotyka tego Prezesa-społecznika, zadowolę się stronnego podopiecznych. Jest to być może bądź, młodzież trudna do reedukacji.

— Czy często? Właściwie nie często. Młodzież nasza jest sprawiedliwa i realnie ocenia otrzymywaną pomoc. Placi za serce — sercem. Jeśli więc po kilku próbach przyjęcia młodym z pomocą otrzymujemy w zamian tylko zło, nie wahaemy się stosować najgorstszego sposobu, jakim jest krata więzień.

Na szczęście te ostatnie drastyczne sposoby, coraz częściej udaje się nam wykreślić z repertuaru środków stojących do dyspozycji Sądu.

— Jutro pójdziesz do klasy. Ale uczesz się jak człowiek. Wyrzuc z gęby papierosa i nie pij — mówi sucho ten nieoficjalny kurator, jakim w rzeczywistości jest przecież ten sędzia-społecznik.

— Będę się uczył? Naprawdę? Przecież oświadczyli mi w szkole, że ja już nigdy...

I znów przed nami jest uczeń. Uśmiechnięty, miły chłopiec. I nie strasza jest przylgana drżącymi palcami gryzka.

Kiedy w noc „złodziei-gentlemanów”...

(Dokończenie ze str. 1)



Film „Przed potopem” nie należy wyłącznie do Francji. Jego walory wychowawcze są znacznie szersze... (z art. Z. Czajkowskiego „Przestępcy pozostają bezkarni”)

nej młodzieży”. Niesposób jej prowadzić właśnie bez oddania głosu nauczycielowi. Na podstawie reporterskich spostrzeżeń i licznych dziennikarskich dyskusji twierdzi jedynie to, że nie wolno dyskutować ogólnikowo o „małoletnim przestępcy”. Trzeba dzielić młodzież, która zetknęła się z milicją czy sądem na taką, którą nauczyciel może pokierować i sam w normalnej uczelni i na taką, którą trzeba umieścić w szkołach specjalnych.

Jest przecież, na Boga, różnica między chłopcem, który wybrał się raz w życiu do zamkniętego kiosku po czekoladę, a typem patologicznym.

Wydaje mi się również uproszczeniem składanie winy za wypaczenie się charakteru dziecka wyłącznie na rodziców i szkołę.

II

NA tym samym piętrze, co Wydział Opiekunów, urzęduje „Prezes młodocianych lotrzyków”.

Jeśli słowo „lotrzyk” wymawia się tak serdecznie, jak to robi opowiadający mi o tak tytułowanym (z racji swej pozastawbowej działalności) człowieku, adwokat, jeżeli mijając czupurne lotrzatka daje im się irysy, jak to zwykł czynić ów Prezes, jeśli wreszcie młodzież przyjeżdżająca na Sądową mówi o nim „nasz” — można tytuł „Prezesa młodocianych lotrzyków” nosić dumnie, jak order.

Wypadało mi czekać na przyjęcie przez Prezesa Sądu dla m. Wrocławia mgr Ulmana dość długo. Tak jest bowiem tutaj zwyczaj, że do prezesowego gabinetu wchodzi poza kolejką tylko „dzieci wrocławskiej nocy”.

Dwa razy w tygodniu prosperuje tu coś w rodzaju nieoficjalnego wydziału zatrudnienia, wydziału mieszkaniowego, biura porad prawnych, ba — urzędu stanu cywilnego! Klientami są młodzi ludzie, którzy po odbyciu kar znaleźli w osobie Prezesa opiekuna i przyjaciela, oraz ci, których oni tu przyprowadzają niejednokrotnie na niewiele godzin przed... aresztowaniem.

Staliśmy przed mapą wielkiego miasta. Pstrzyły ją kółeczka, trójkątiki, których znaczenia dowiedziałem się później. Różnokolorowymi plamami zaznaczono na niej dzielnice. Drugą tworzy prostokąt koloru fioleto.

— Czy pan wie, redaktorze, że mieszka tu około 120 tysięcy ludzi, ale nie ma ani jednego Dzielnicowego Domu Kultury? Ze nie przewiduje go nawet Plan Pięcioletni?

dną, ta na wzgórze, świecił zawsze. Nikt nie ośmielił się rzucić w szkło kamieniem. To „czytelnia „pod Lupinem”, jak ją nazywa rozmówca, którego spotkałem w gabinecie Prezesa.

Relację z tego, swojego rodzaju „wieczoru literackiego” przytaczam tak, jak ją sobie zapamiętałem. („Odtóż ołówkę, redaktor, bo nie nie powiem”).

„...Hrabina w ryk, a Czarna Maszka do niej; brylanty, albo życie! A potem to już wiecie, co i jak. Prawdziwy włamywacz robi swoje z fajną kobietą...” — streszcza poprzedni rozdział „literat”, piętnastoletni Jarek Z., który swój pseudonim zawdzięcza okradaniu księgarń. Z tejże racji jest tutaj lektor.

„Czerwona hrabina” to „książka

norama” — drukująca „Naszynnik” czy u nas jest do kupienia?

Dobry „kryminał” byłby w naszej pracy ceną, bardzo ceną, pomocą.

A takich w księgarniach jak nie ma, tak nie ma.

OD roku dyrekcja Parku Kultury walczy o usunięcie ze swoich terenów restauracji o niedwuznacznej nazwie „Mordownia”. Jest to oczywiście nazwa nieoficjalna, nadana restauracji przez stałych klientów i tych, którzy mieli nieostrożność popaść w konflikt z którymś z sąjki „Mocnych” z Sepolną”, stałych bywalców „Pergoli”.

Wczorajem, szczególnie w dniu mniej pogodnym, na ustronnych alejkach zbierają się chłopcy i dziewczynki.

zwyciężenia dogmatyzmu w naukach społecznych. Czy wytyczne sformułowane przez prof. Schaffa spełniają te nadzieje?

Problem badań społecznych nie jest w marksistowskiej publicystyce socjologicznej problemem nowym. Sam prof. Schaff w 1952 roku w artykule pt. „Metoda dokumentów osobistych a społeczne badania terenowe” („Mysli Filozoficzne” nr 3/52) wysunął postulat podjęcia takich badań. Od tego czasu — jak wiadomo — sprawa nie posunęła się zbytnio naprzód. W ówczesnym sformułowaniu postulatów musiały się więc kryć jakieś mankamenty, które nie pozwalały go zrealizować.

Prof. Schaff przytacza w owym artykule niezwykle ciekawe dane dotyczące materiałów zebranych przez Instytut Nauk Społecznych. W konkursie „Moja wieś wczoraj i dziś” zebrano za pośrednictwem gazety „Rolnik Polski” i wydawnictwa „Czytelnik” 1500 wypowiedzi o przeciętnej objętości 40—50 stron każda, a więc przeszło 50 tysięcy stron maszynopisu, materiału dotyczącego przemian społecznych na wsi w pierwszym pięcioletniu. Można było do tego materiału zastosować metodę idealistyczną i badać postawy społeczne, a można było również zastosować metodę realistyczną badając obiektywną rzeczywistość, która się w tych wypowiedziach ujawnia. Okazało się, że można zastosować również i trzecią metodę: w ogóle nie badać.

Teraz, gdy znów wracamy do spraw badań społecznych, musimy zastanowić się, czy sposób, w jaki się stawia ten problem dzisiaj, zawiera w sobie niezbędne elementy, które uchronią nas od powtórnego niepowodzenia? Wydaje się, że przedsięwzięcie naukowe typu badań społecznych musi odpowiadać przede wszystkim dwóm warunkom: uczony podejmujący te bada-

i rozwój nauki

wych kryteriów, spór jest skończony i dalsza obrona stanowiska fałszywego oznacza rezygnację z marksizmu”.

Instytucjonalizacja prawd naukowych musi doprowadzić do stagnacji w rozwoju nauki. Jeżeli też nauka, której prawdziwość na danym etapie rozwoju nauki nie ulega wątpliwości, uzyska stempl uzurpedycyjnej oficjalności, wówczas z elementu dynamicznego i postępowego staje się elementem stacym. Dlatego też to, co pisze prof. Schaff, nie przemawia za takim trybem ustalania praw nauki, lecz przeciwnie.

UWAGI O KRYTERIUM PRAKTYKI

W RESZCIE czwartym argumentem jest świadectwo faktów. Prof. Schaff godzi się na to, że „zawsze w ostatecznym rachunku o prawdziwości danej tezy teoretycznej decyduje jej zgodność z rzeczywistością”.

Jak wiadomo, w teoremacie marksistowskiej za kryterium prawdy uznaje się praktykę. Trzeba stwierdzić, że kryterium to jest zgodne z tym, co wielokrotnie w niniejszym szkicu podnosiliśmy, że ostatecznym sprawdzianem twierdzeń naukowych są fakty. Należy jednak poczynić ważne rozróżnienie: kryterium praktyki nie jest równoznaczne ze zgodnością z rzeczywistością: sama praktyka to nie jest zgodność z rzeczywistością, twierdzeń, które ma udowodnić. Praktyka jest tylko znakiem tego, że założenie, na którym się ona opiera, jest zgodne z rzeczywistością. Teraz dopiero okazuje się nam wyraźnie logiczny charakter tego kryterium prawdy: zdania o praktyce pozostają w takim stosunku

logicznym do założeń teoretycznych, które mają udowodnić, jak następstwo do racji. A przecież wiemy — i przypomina nam to ostatnio W. Bienkowski w cytowanym artykule — że według zasad logicznej implikacji prawdziwe następstwo może wynikać z fałszywej racji, gdyż prawda wynika ze wszystkiego, a fałsz implikuje wszystko. Natomiast fałszywe następstwo może wynikać tylko z fałszywej racji, gdyż fałsz wynika tylko z fałszu, a prawda implikuje tylko prawdę. Z tych prostych zasad logicznej implikacji płyną kapitalne wnioski dla metodologii nauk. W naukach empirycznych, których ostateczną instancją jest odniesienie do faktów, prawa tych nauk, które są racjami dla zdań o faktach jednostkowych, nigdy nie mogą być ostatecznie udowodnione przez te fakty. Typowe dla tych nauk rozumowanie reducyjne od „wzrostu następstwa do prawdziwej racji nigdy nie ma charakteru koniecznego. Natomiast charakter konieczny ma inne rozumowanie: o ile choćby jeden raz następstwo okaże się nieprawdziwe, należy uznać i rację za fałszywą; jeśli choćby jeden raz fakty (oczywiście odpowiednio sprawdzone) nie potwierdzą ogólnego prawa, należy poddać to prawo rewizji. Cała historia nauki jest ilustracją respektowania tych zasad. Jeśli jeden raz udało się zbudować perpetuum mobile, pierwsza zasada termodynamiki musiałaby ulec rewizji.

Czyż w tej sytuacji jasne jest, dlaczego uznaliśmy postulat permanentnej weryfikacji i dyrektywy o możliwości odrzucenia każdego twierdzenia naukowego ze względu na wyniki przysyłanych badań — za fundament metody naukowej?

JESZCZE O BADANIACH SPOŁECZNYCH

PROF. SCHAFF podejmuje hasło rzucone przeze mnie: o wielki program badań społecznych. Zagadnienie konkretnych badań socjograficznych jest owym *experimentum crucis* całej walki z dogmatyzmem. Od tego, jak ów program będzie rozwiązany, zależy powodzenie lub niepowodzenie prze-

zycie naukowe. Zależy od tego, czy wytyczne sformułowane przez prof. Schaffa spełniają te nadzieje?

nia musi w stosunku do badanej rzeczywistości społecznej zająć postawę badawczą oraz musi dysponować narzędziami badania, które zdolne będzie objąć całość badanych zjawisk.

Prof. Schaff zdaje się doceniać wagę postawy badawczej, gdy po trzykroć słusznie pisze: „Nauka może się rozwijać tylko tam, gdzie jest miejsce na bezkompromisowe poszukiwanie obiektywnej (podkr. S. J. K.) prawdy... Należy bezkompromisowo poszukiwać prawdy i poznania jej nie może być szkodliwe”. Racja. Ale czy słowa te nie zawierają w próżni, jeśli przypomniemy sobie, że autor ich w poprzednim artykule postulował, iż badacz musi przystąpić do badania z bardzo szczególnymi założeniami (i to nie ograniczającymi się bynajmniej do metody), które właściwie z góry wyznaczają jego wyniki?

Jeśli chodzi natomiast o warunki drugi, o stosowanie właściwych narzędzi badawczych, prof. Schaff uważa, że zasób pojęć terminów i problematyki, którym dotąd operowano w marksistowskiej socjologii jest całkowicie wystarczający do podjęcia nowych badań. Wniosek właściwie zaskakujący u zwolennika dialektyki, która zakłada przecież nieustanny rozwój zjawisk. Rozwija się rzeczywistość społeczna i musi rozwinąć się również

NIE wiem, jak w innych krajach, ale u nas początkujący dziennikarz przechodzi tzw. szkołę okresu rekrucji, ciężki nie tylko moralnie ale i wręcz fizycznie. Zaczyna od najczystszej roboty, od redaktora technicznego, wstaje o piątej rano, by zdążyć do drukarni na szósta, często dyżuruje w nocy, nikt mu nie uwzględni spóźnienia tramwaju, zawieszanie choroby, bo w gazecie — jak w wojsku, bo gazeta wyjść musi. Choćby pioruny waliły, bo na gazetę czekają setki tysięcy odbiorców o oznaczonej godzinie, bo nieznaczne spóźnienie oznacza dla pisma stratę tysięcy złotych, niewykonanie planu i różne inne paskudztwa.

Dodajmy do tego, że początkujący dziennikarz z aspiracjami intelektualnymi, wielbiciel Camusa i Hemingwaya, zwolennik nowinek i programowy buntownik — jest w redakcji największym popychadłem, służy do tego, by starsi wyładowywali na nim zły humor — a otrzymuje błady obraz tego, co nazwaliśmy „szkołą” dziennikarską. Wiele miesięcy musi czekać, nim wydrukują mu pierwszy artykuł, tak skrócony i przedziurawiony, że nie może nieborak go poznać. Nie wiem, jak jest gdzie indziej, ale w Polsce jest tak. Sam przeszedłem przez ten okres rekrucji, sam mogłem stwierdzić, że zmiana jednej redakcji na drugą nie przydaje się na nic, bo wszędzie jest to samo, sam chciałem sto razy rzucić dziennikarstwo i zostać czymkolwiek, byle uciec od tego przekleństwa.

Wielki, patetyczny wstępniak? Wstrząsający, nowatorski reportaż? — Mój Boże! Młody dziennikarz czeka na to latami. I nieraz — zbyt często — kiedy się wreszcie doczeka, to nie ma już co powiedzieć, wszystko w nim się zaprzało, zbyt wiele serdecznych materiałów mu

odrzucono. Zbyt wiele razy już styszał, że pisze głupstwa, że nie umie uogólnić, że powinien sięgać po problematykę centralną, że czy to trafne, tamto — nieważne, owo — nie sprawdzone, lub nie sprawdzalne. Że nie każda prawda nadaje się do napisania. Ze artykuł słuszny może być za rozumny. Ze wrogowie czytają na szczość. Itd. Itd.

Ale za to dziennikarz, który przebedzie te szkole, zna wartość słowa, rozumie hierarchię zagadnień, nie napisze jednego zdania nie sprawdzwszy, czy ma na nie dokumentację. Wiele śmiałych myśli

nie, dlaczego redaktor nie chce drukować materiałów, które na porządku dziennego go cieszyły, gdyż są politycznie „dobrze ustawione” i zawierają pożądany ładunek sensacji. Redaktor jest stary i wie, co robi. Skrzywił się, gdy mu przyniosłem felieton pt. „Pół prawdy” (D. i J. z dnia 6.X.1955). Nalegałem. Uległ. Czy słusznie?

„Byłem przyjemnie zdziwiony, gdy trzeciego stycznia br. Radio Państwowe zaczęło mówić o mnie. Ale przyjemność zmieniła się wkrótce w nieprzyjemność. Autor audycji polskiej — chciałem powiedzieć: w języku polskim — referował moja

żo o złej sytuacji materialnej artystów”, autor audycji napisał: „młody artysta w prowincji klepie biedę nieprawdopodobną”. Ja napisałem: „kacyk”, autor audycji napisał: „kacyk partyjny”. Autor audycji napisał: „jedynie waleń piśmiemko na prowincji wypełnia swymi artykułami sam redaktor”. Ja tego, ani niczego podobnego nie napisałem. I tak dalej i dalej. Poza tym, mój felieton spotkał się z reakcją Jerzego Urbana, który w artykule pt.: „Dziesiąta woda po S'adnickim” — zakwestionował większość moich tez, w szczególności zaś te, jakoby zarobki w Pol-

sce kształtowały się według wielkości miasta, nie zaś według obowiązków stawek. Poważny sprawozdawca referuje dyskusję w całości, albo wcale. Sprawozdawca paryski tego nie uczynił.

Jednym słowem, numer, który by u nas nie przeszedł: artykuł oparty na fałszach, naciąganych lub wyrwanych z kontekstu cytatach. Redaktorzy Radio Diffusion Française — w przeciwieństwie do naszych — nie żądają od autorów dokumentacji, względnie żądają fałszewej.

Ale redaktorzy polscy nie tylko żądają dokumentacji, jeszcze w niej przeprowadzają selekcję z punktu widzenia typowości. To znaczy, że jeżeli np. reproduujemy zdjęcia bezdomnych paryżan, nocujących w metro, albo jeżeli piszemy, że przemyślny Senegal, kraju niewiele mniejszego od Polski i zamieszkałego przez dwa i pół miliona mieszkańców, składa się z jednej cementowni i jednej fabryki tekstyl-

nej w budowie — jak to ja sam napisałem niedawno — to staramy się, by ujawnione fakty ukazywały jakiś problem, jakiś proces, coś co zdarza się często, względnie, co się rozwija. Jeżeli więc napisałem, że uniwersytet w Hanoi produkował średnio dwóch tubylczych lekarzy i jednego inżyniera rocznie, to starałem się opisać zjawisko typowe dla całego francuskiego kolonializmu. Naomiast autor audycji z Paryża świadomie lub może nieświadomie — a może nie — wyjechał z gospodarczej światła — wyjechał dwa, z gruntu fałszywe uogólnienia: po pierwsze, że na polskiej prowincji istnieje powszechna nędza i po drugie, że cudzoziemcom pokazuje się tylko propagandową fasadę Warszawy.

Nie mam zamiaru polemizować z tymi twierdzeniami, gdyż po prostu nie warto, gdyż każdy jako tako orientowany w zagadnieniach ekonomicznych człowiek wie, co sądzić nie tylko o polskim eksporcie, ale również o polskim importerze. Nie tylko o naszym budownictwie przemysłowym, ale i mieszkaniowym, nie tylko o nakładach naszego piśmiennictwa, ale i o tym, „jak w Polsce dobrane się je”. W świetle tych faktów teza o polskiej nędzy ma dla przeciętnego europejskiego inteligenta taką mniej więcej wartość, jak teza o francuskiej głupocie. Sa — niewątpliwie — wypadki nędzy w Polsce, podobnie jak są — na pewno — wypadki głupoty we Francji. Ale jedno i drugie jest nietypowe.

Trzeźwość, tak nietypowa dla nas uchodzi za cech typowy francuski i dlatego należy się dziwić, że redaktorzy audycji z Paryża zapomnieli o setkach Francuzów, Marokańczyków i Tunetańczyków „sędzonych” do Polski na V Festiwal Młodzieży, którzy zwiedzili nasz

kraj od Elku po Pabianice i mogli ad libitum porównywać stopę życiową naszą i swoją, oglądać dzielnice pałaców w Warszawie i dzielnice baraków w Częstochowie, równie cuchnące — tylko mniejsze — jak „la Zone” pod Paryżem, kupować nasze pisma, czytać nasze reportaże.

Przypuszczalnie redaktor paryski zakwalifikował audycję z dn. 3. I. gędz. 20 dlatego, że napisał ją autor polskiego pochodzenia, który ma niesłychaną frajdę z tego powodu, że jego rodzina w Polsce nie może dostać kolnierzyków nr 38. Tak, jak nasi redaktorzy sławiają autorom pytania, „czy ten artykuł na coś komuś się przyda?”, tak samo muszą postępować ich paryscy kole-dzy.

Na co była potrzebna audycja o naszym sporze o kolnierzyki i garniki Polakom zamieszkałym w Francji? Z pewnością do wykazania, że nie tylko Francja ma kłopoty żywnościowe i mieszkalne. Na co była potrzebna autorowi? — Zaczął ją od słów „Gdzie dwóch (niby: tych komunistów: Małachowski i Stadnicki, przyp. J. S.) się bije tam trzeci korzysta”. Toteż pewnie skorzystał.

Cały ten traktat o inteligencji piszę po to, by przekonać młodych kolegów, że redaktorzy nie wają niekiedy rację, kwestionując pozornie niewinne i marginesowe felietony. Nie trzeba dawać zapalek dziecku, ruszać śmierzdzących rzecz. pisać o braku kaszy w Pabianicach i mieszkań w Paryżu, zakładać, że czytelnik myśli. Mój dziadek — dość znany komuniści — mawiał: „Tu as perdu une excellente occasion de ce taire”. Otóż to. „J'ai perdu”.

Jerzy Stadnicki

Trzy pytania polskiego redaktora

nie ogląda u nas światła dziennego, to prawda. Ale też nie jest u nas do pomysłenia, aby młodzieńcy, którzy ma za dużo „temperamentu” siadł i napisał jedną z tych „rewelacji”, na których zachodnie pisma zarabiają tak świetnie. Morderstwo lub kradzież brylantów nie mogą u nas spowodować podniesienia nakładu, mogą natomiast wywołać dyskusję obyczajową. Artykuły jak najbardziej „po linii” Rządu albo redakcji nie są na lepszych prawach, raczej na gorszych, bo trzeba je umotywić tym staranniej. Żeby korespondent przyniósł do redakcji pisma, tym bardziej zaś radia, nie wiedzieć jak epatujący materiał — pierwszym pytaniem redaktora będzie — czy są na to dowody, drugim — czy ten fakt jest typowy, trzecim — czy ta wiadomość komuś na coś się przyda?

Piszę te słowa dla tych, młodszych kolegów, którzy zdziwiają się, że na to, na co ja narzekałem przed laty, którzy nie mogą zrozu-

niedawną polemikę z Aleksandrem Małachowskim z „Po Prostu”. Od razu musiałem stwierdzić nieścisłość faktograficzną nie najlepiej świadczące o sumiennosci redaktora audycji. „Po Prostu” zostało nazwane pismem krakowskim, co nie jest błędem istotnym. Gorzej, że ja zostałem nazwany publicystą komunistycznym, co takim błędem już jest. A już całkiem źle, że do cytatach mojego felietonu zakradły się drobne fałszerstwa. Tak drobne, że mogły sprawić wrażenie omyłek korektorskich, za to jednomyślne, jeżeli chodzi o sens wypaczenia. I tak ja napisałem: „Aktor prowincjonalny nie może dorobić ani grosza do pensji 1500 zł”, autor audycji napisał: „na prowincji nawet najzdolniejszy aktor nie ma nic, absolutnie nie poza głodową pensją” (każdy, kto był w Polsce mógł stwierdzić, że za 10 zł można zjeść przyzwoity, mięsny obiad, zatem głodowa pensja wystarcza na 150 obiadów). Ja napisałem: „pisze się du-

sce kształtowały się według wielkości miasta, nie zaś według obowiązków stawek. Poważny sprawozdawca referuje dyskusję w całości, albo wcale. Sprawozdawca paryski tego nie uczynił.

Jednym słowem, numer, który by u nas nie przeszedł: artykuł oparty na fałszach, naciąganych lub wyrwanych z kontekstu cytatach. Redaktorzy Radio Diffusion Française — w przeciwieństwie do naszych — nie żądają od autorów dokumentacji, względnie żądają fałszewej.

Ale redaktorzy polscy nie tylko żądają dokumentacji, jeszcze w niej przeprowadzają selekcję z punktu widzenia typowości. To znaczy, że jeżeli np. reproduujemy zdjęcia bezdomnych paryżan, nocujących w metro, albo jeżeli piszemy, że przemyślny Senegal, kraju niewiele mniejszego od Polski i zamieszkałego przez dwa i pół miliona mieszkańców, składa się z jednej cementowni i jednej fabryki tekstyl-

ZBIGNIEW LASKOWSKI

RZESZOWSKI REKONESANS



Wtorek. Pierwsze zetknięcie z miastem — poprzez hotel. Mały, brudnawy, prowincjonalny. Na ścianach napisy: „Oszczędzaj światło”. Wolałbym oszczędzać oczy — tych części zapasowych nie mam, nie wymienię ich na nowe jak lampę. Żarówka ledwie świeca, muszę czytać, psuje oczy. Podobny chyba rozsądek kazał zlikwidować pozostałe hotele w mieście i pozostawić przyjeźdnym pełne możliwości atrakcyjnego noclegu na dworcu. Tymczasem Rzeszów rozrasta się gwałtownie, ma trzykrotnie więcej mieszkańców niż przed wojną, stanowi zaplecze dla dużych zakładów przemysłowych. Buduje się osiedla, urzędy, ostatnio poważnie mówi się o własnej radiostacji.

No tak — ale 60-tysięczne miasto z 2 (dwoma) kinami i jednym teatrem? Coś tu w proporcjach rozwoju nie dopisuje. Postulaty upowszechnienia kultury są jak się okazuje jak najbardziej — i to drastycznie — aktualne nie tylko w województwie ale i jego stolicy. Stara piosenka: co ma robić po pracy rzeszowianin, jeżeli w praktyce pozostaje mu tylko restauracja albo ulica? Jakże często odpowiedź daje sąd.

Gmach WRN-u jest bogaty w gipsy i marmury. Lepiej zamiast gmachów na wzór warszawskiej ulicy Kruczej czy MDM-u wybudować eklektyczniejsze — a na dodatek kino. Nie warto robić oszczędności na kulturze — popsuje się człowiek. Wieczorem sztuka Slotwińskiego: „Krzywo prosto byle ostro”. Notatka prasowa anonowała ją jako pierwszą komedię o tematyce wiejskiej. Na scenie wzorowy kutak, mądry przewidujący średniak, biedniak z tych, co to i chciałby i boić się itp. — typowa „literacka” wieś. Staba akcja, sporo niezłych powieści — ale to za mało żeby sztukę dobrze zagrać. Ale jedną postać zapamiętałem: delegata KP granego na nonszalanicznym uśmiechu i powściągliwości dla maluczkich na wsi. Kiymina!

Podobno sztuka była mocno zmieniana i z przeróbek wyszła gorzej. No cóż — jeszcze raz potwierdza się stara prawda o tym, jak trudno jest pisać dla wsi i o wsi. To są oczywiste zastrzeżenia inteligenta z miasta — może sztuka na wsi ma inne przyjęcie. Notuję jeszcze głos w foyer: „nie wystarczy chłopu podpatrzeć — trzeba go zrozumieć”. Teatr pracuje jednocześnie dwoma zespołami. Często jeździ w teren, sięga w swoich wyjazdach do Sandomierza, Krynicy, Ustrzyk czy Przemysła, ma ambitny repertuar:

Żeromski, Mollier, Ostrowski, Rostand, Goldoni. 234 przedstawienia w ciągu pierwszego półrocza br. i 66 tys. widzów — te cyfry coś znaczą.

Sroda Leje. Jesień finiszuje i wyciąga sily. Wyjeżdżając z Warszawy w związku z obchodami dziesięciolecia Ruchu Społecznie-Postępowego nie przewidziałem, że do ekwipunku należało włączyć gumowe buty. Trudno spisywać wrażenia, papier moknie, notatki stają się coraz bardziej lapidarne.

Co krok — samochodowy krok — to małe miasteczko i starodawne budowle. Nie darmo te okolice to „ziemie ojców naszych”. Raj i kłopot dla konserwatorów, którzy nie mogą sobie poradzić z zabezpieczeniem wszystkich zabytków. Ot choćby piękny, przypominający Wawel, zamek w Baranowie. (Czyja to horrendalna beznamiętność potraktowała go jak stodołę i pozwoliła zawalić tonami zboża? Grozi mu ruina!!!)

Baranów — miasteczko jakich wiele. Ponoć pisał już o nim Długosz — ale dziś świadomość pięknej tradycji nie wystarczy. Wiele podobnych jest w Polsce. Życie dały im feudalne grody i szlaki kupieckie. Potem były ogniami w łańcuchku drobnej wymiany towarowej między wsią i wielkimi ośrodkami. Dziś ich rola handlowa upadła, miasteczka wędną. I tu jest problem, wielki problem, który trzeba rozwiązać. Nie w każdym miasteczku możemy przecież budować ciężki przemysł. Trzeba stworzyć z nich zaplecze dla wsi, wykorzystać budynki np. dla umieszczenia bazy

wej, zabudowanej wielkimi nowoczesnymi blokami. Mieszka w niej kilkanaście tysięcy ludzi, pracowników okolicznych fabryk. Jaki materiał dla socjologa! Ale Mielca nikt jeszcze nie odkrył, wspominają o nim tylko pisma sportowe — („piłkarze mieleccy weszli do drugiej ligi!”). Nowa Huta jest obrymą konkurencją: skupiła na sobie oczy dziennikarzy, niemal zmonopolizowała reportaże obyczajowe. Jakoś przestaliśmy widzieć poza nią inne ośrodki, w których tworzą się i konkurują ze starym nowe życie i problemy — niesłuszna to i niebezpieczna jednostronność.

Czwartek. Prawie na wszystkich plebanich nie palono w piecach. Grzeje się — o paradoksie — w samochodzie. Jak to dobrze, że jest FSO i ogrzewane „Warszawy” w terenie.

Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich wysłała do proboszczów ankietę z prośbą o wypracowanie się, co na terenie im znanym należałoby zaprojektować w planie 5-cioletnim, aby podnieść produkcję roślinną i hodowlaną, rozwijać spółdzielczość i gospodarstwo na wsi. Wśród księży słabiej związanych z Komisją ankietę wywołuje zapytania: dlaczego działacze katolicki interesują się tylko sprawami gospodarczymi? W nagłowym liście brak jest podtytułu „sekcja rolna”, który by wyjaśniał zakres i charakter pracy tej komórki Komisji. Do Rzeszowa daleko, niepokojące pytanie — gdyby nie moja przypadkowa wizyta — zawisłoby w próżni.

od niego, jak widelki u procy, do owoc konców promu prowadzą owe liny. Nierówny dźwięki urzymują prom skosem do nurtu rzeki. Woda, uciekając o ustawiony pod kątem bok przesuwają cały pojazd do przodu, bieg wsteczny wyciąga się luzując kłosaż linę i skracając kłosaż — prom się wówczas pęknie i woda pchną go w tył.

Zukrowski pisar reportażu z Chin ilustrujący ich egzotykę fotografiami z przepawy, samochozem na promie...

Dziwota wieczór, ciemno i zimno. Fencimenalne bioty, waka caga, na zakręcie ciężarówka. Niewiele dziakuje zetymyś jeczni do rowu. Kierowca z Powiatowej Rady Narodowej ze stoickim spokojem oświadcza, że wracamy dość wcześnie. Zaczyna mu się, że czeka na koniec zeolania w gromadzie do pierwszej czy drugiej w nocy. Zaczynam zasnanawiac się nad przyjemnościami pracy w terenie. Szukamy tematów do klasycznych reportażu — gazy? Tam gazy się coś byszczły. Łąpomy rozczynki, coore czy zie, krytyczne czy pozytywne — ale rozczynki. Kiujące i wywołujące się ponad powszedniości i powszedniość życia w terenie. Co się dzieje na dole? Jak układa się szary dzień, szarego pracownika PKN?

Zreszła w ogóle o wsi wiemy za mało. Uwawiam się, że dla czytelnika naszej wielkomięskiej prasy Polska koczny się na wywołności z ha. Najpierw jest Nowa Huta i ciężki przemysł, potem wielkie sprawy fabryki cukierków, sporo o tym, kogo znów przejechali na ulicy. Po Plenum KC przychodzi fala tematów z zakresu „produkttywizacji rolnictwa” — na problemie kukurydzy, POMu i wagi wieprzka kończy się nasze pojęcie o rolniczym świecie. Ostatnio w ramach postępu w dziedzinie informacji dowiadujemy się już, kto kichnął w Patagonii. To też się przyda — ale przydałaby się i towarzyska kronika z Kozietul Małych. Wieś jest wciąż traktowana trochę jak bezosobowy przemysł kalorii i witamin. O ludziach niewiele — co najwyższej aktywności lub produkujący średniak. Na dziennikarskim ogorze pozostawiamy niechęć część ludności kraju. (Ale są zato wstępniaki o łączności miasta ze wsią i wzajemnym zrozumieniu). Może warto, tak od święta, raz na tydzień w niedzielę o katarze Kaśki i Józka?

Nareszcie lepsza szosa. Kierowca snuje swoje refleksje: na tych drogach nie da rady przejechać na naszych oponach wymaganych 30 tys. km, szkoda mu nieraz wozu w tym terenie. „Warszawa” to dobry samochód, da się na nim zrobić nie tylko normę 100 tys. km. bez remontu lecz i dużo więcej. Zna takiego, który ma już na liczniku przeszło 200 tys. Ale na „Pobiedzie”. „Pobiedy” są lepsze niż „Warszawy” — niby to samo, ale motory radzieckie mocniejsze, widocznie produkcja solidniejsza. I jeszcze o benzynie: że „Warszawa” ma silny silnik i tylko trzy biegi — przydałby się czwarty, na dobrą szosę, mniej by się wtedy spalało i szybciej jechało (teraz najekonomiczniejsza szybkość wynosi... aż 40 km/godz.!) Z narzekania na drogi rodzi się wniosek: powinniśmy mieć fabrykę łaźników, żeby w powiecie mogły chodzić zawsze dwa wozy: jeden terenowy a drugi na lepsze drogi. Maszyn by się mniej niszczyły, żyły dłużej. Sprawa samochodów to powojenny problem na naszej wsi. Elegancje „Warszawy” zapewniające szybki kontakt z gromadami to jeden z charakterystycznych znaków po-

wych czasów. No i w sumie spory problem gospodarczy.

Piątek. Centrum Polski — a tu czasem świat deskami zabity. Droga „Warszawa” nie przedziejesz, furką daleko. Zją tu sobie nieraz ludzie jak za dawnych lat, wódkę popiją, poopowiadają o jednym takim, co przez dwa lata w gęstych lasach ekolicznych grasował — ale go młodzi na koniec złapała, gdy do dzwiczyny przyszedł. Chłopy tu twarde, z dziada pradziada zasiedziały, w niejednej jeszcze wsi orczykim potrafią sobie sprawiedliwość wymierzyć.

Ostatni to dzień w tych stronach. Miasteczko zagarnęła ciemność. Ulicę są puste, mroczne i wilgotne. Nie łączą lecz działy domy i ludzi. Na martwym rynku kiosk jest jedynym jasnym punktem. Do sprzedawcy nachyla się młody człowiek. Jego ruchy są powolne i miękkie. Gdy sięga po pieniądze za paczką migocze szyjka butelki. Gdzie ma się poczaić w taki wieczór i ci spórśród czterech tysięcy mieszkańców, którym przyszła chęta do ciepła, światła i rozrywki?

Kino ma dwieście miejsc, wyświetla jeden seans dziennie. Stoi Dom Kultury — ale co w nim jest? Czasem występy przyjeźdnich zespołów. A dzisiaj? W oknach ciemno. Od tyłu otwarte drzwi. Zapalam światło: czytelnia, trochę pism na stolikach, zimno. Po pół godzinie zjawia się woźny. Kierownik? Wyjechał na kurs. Grzeje się w biurze. Dom to ta czytelnia i duża sala ze sceną. Cwiczą w niej zespoły. Dawniej w czytelnii chłopcy grali w ping-ponga, ale hałas przeszkadzał w czasie prób. Więc? Jest klub sportowy — ale...

O schemacie naszych miasteczek: jest przecież knajpa! A w niej — bufet obficie zaopatrzony i klienti. W cukierni jestem jedynym gościem. Ten jasny i letni plyn to herbata. Zimno, pusto i nieprzytulnie.

Niski drewniany domek z gankiem. Przejściowa izba zastawiona gratami. Potykam się o rower, za sprzych bezpiecznie ujada kundelek. Korpułentny kształt właścicielki wskazuje drogę w ciemności. „A oto pokój” —



Po kątach półmrok i łożka. Zawieszona nisko nad stołem lampa kregiem światła wyluskuje z cienia włosy, twarze i nachylone barki postaci. Na zielonym pluszu serwetki stos dwuzłotówek. Żółtawe teksturki kart.

Ten zamary gest ręki, która zawisa w powietrzu z wałetem trefli w palcach, ta gra światła, twarze — znam ich, pamiętam. Który to z mistrzów namalował ich już trzyścia lat temu?

„Wino, czerwień — a ja z żydkiem. To jeszcze po dwa!”. Tempo gry oszalaniające. Może to już ostatni, co z taką maestrią i znawstwem potrafią podtrzymać tradycję i wygrać wszystkie niuanse klasycznego „66”? W kącie starszy pan obojętnie wciąga przez głowę nocną koszulę. U kostek majątają mu się tasienki od gaci. Czy to pościelił jest szara — czy żarówka tak słabo świeci?

Sobota. Rano rozmowa o nasionach i magazynach. Postacie z obrazu przemieniały się w prozaicznie nowoczesnych kontrolerów z ZSCH czy GS. Dostają napisany ołówkiem rachunek za nocleg z proporcją, by potwierdzić go sobie w



Rys. Krystyna Maślanka

MRN. Ojcowie miasta przybijają mi stempelkę stwierdzającą, że cena nie jest wygórowana. Tu nie ma oficjalnego hotelu i legalizuje się prywatne noclegi. Lepiej to niż nic.

Poranne światło odkrywa czerwień świeżych murów dużych osiedla. — To przecież w tych okolicach za kilka lat powstanie wielka kopalnia siarki i kombinat przetwórczy. Wyrośnie jeszcze jeden poważny ośrodek górniczo-przemysłowy. „Mój” kierowca od nowego roku chce się przerzucić na ciężarówkę. Ma już dosyć „dorozkarsstwa”. Jest w tym trochę ambicji — transport w przemyśle to coś lepszego niż wożenie urzędników — ale i trzeźwej oceny perspektyw.

Za kilka lat chłopak spotkany wieczorem koło budki „Ruchu” będzie pewnie o tej porze w klubie fabrycznym. Stanie chyba też i hotel — (tylko czy będą w nim wówczas miejsca?). Już teraz miasto zaczyna żyć bujną przyszłością. Mówi się: „pokłady biega pod Wisłą — no to zmieni się koryto i przetrudzi ją trochę dalej”.

Czy potrafimy się już ustrzec od problemu Nowej Huty, pustki kulturalnej i zapelniania życia czymkolwiek? Uderza podobieństwo problemów i niebezpieczeństw sygnalizowanych dzisiaj do spraw poruszanych przez Erenburga w „Dniu wtórnym” czy „Jednym them”. Gdy wysłaliśmy fachowców od maszyn do ZSRR na naukę do fabryk, nie wysłaliśmy fachowców od ludzi, by zbadali jak kształtowało się społeczeństwo i jego potrzeby w pierwszych latach wielkiej przemiany. Nie wykorzystaliśmy doświadczeń, uczyniliśmy się na własnych błędach. Długo nie starczało nam trudnej wiedzy o ludziach.

Czy dzisiaj nam starcza?